JERZY OSTROWSKI

SOBIERADEK

POWIEŚĆ

W A R S Z A W A

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. WOJNARA I S-KI
MARSZAŁKOWSKA 87

SOBIERADEK

JERZY OSTROWSKI

SOBIERADEK

POWIEŚĆ

W A R S Z A W A

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. WOJNARA I S-KI

MARSZAŁKOWSKA 87

NEUMAN & TOMASZEWSKI
ZAKŁADY GRAFICZNE WE WŁOCŁAWKU

— Bawisz się, Wusiu?

— Bawię się.

Mama przeszła do salonu i zamknęła drzwi. AWuś właściwie wcale się nie bawi. Coprawda powyjmował zabawki z komody, ale nie rusza ich z podłogi. Bo najnieprzyjemniejsze w zabawkach jest to, że niemają żadnej innej wartości i są tylko do zabawy dla dzieci. Wiadomo, że niema w nich żadnej tajemnicy i nic się nie może z nimi stać, tylko trzeba się tak i tak bawić i już.

Co innego taka rzecz jak naprzykład mieszek do ognia. Miło jest cisnąć pęczniejące w nim powietrze i przesuwać sobie po twarzy aksamitną pałeczką wiatru, ale kiedy bierze go Marynia, nabiera już całkiem innego znaczenia i wiadomo, że jest także dla dorosłych.

A zabawki?... Nawet gdyby się chcieć niemi bawić, to całkiem nie pasują do siebie. Skaczący i piszczący piesek jest kilka razy większy od szofera, oderwanego z samochodu. (Albo i ten szofer wiecznie siedzący ze złożonemi rękami!) Biały słonik od Mamy, chociaż jest dosyć przy-

jemny i apetyczny, jest o wiele mniejszy od koni. Zresztą może się stłuc. A ten ptaszek w paski od panny Leonji i pajacyk z dużemi nogami to wcale niepodobne do prawdziwych. Zupełnie nie można urządzić zabawy!

Jeszcze najlepiej możnaby się bawić piłką, ale teraz Mama śpi i trzeba się bawić cicho, a przytem piłka ma na sobie takie same kolorowe kraty, jak bluzka panny Leonji. Taka bluzka nazywa się „szkocka".

Szkoda, że się nie poprosiło mamy o kółeczko do chrustu, albo kołki do bielizny, albo bociana od cukru, ale teraz już zapóźno.

I zupełnie, ale to zupełnie nie wiadomo co robić.

Oczywiście niema mowy, żeby pójść do kuchni, do Maryni, bo i tak Wuś wpędza Mamę do grobu. A tam jest o wiele, wiele ciekawiej i nawet cieplej, niż w pokoju. Z ognia wyskakują i chowają się małe, śmieszne człowieczki w spiczastych kapturach, albo nad drzewem pokazuje się mały, niebieskawy płomyczek i po chwili dopiero dotyka drzewa. Marynia stoi koło komina i robi różne ważne i niezrozumiałe rzeczy: wypuszcza parę z pod pokryw, miesza w garnkach taką dziurawą łyżką („durszlakową"), albo wysuwa szyber.

Teraz naturalnie już się nie gotuje, tylko pewno Marynia robi nowe firanki z gazety, wycina w nich dziurki i układa na półkach. Gdyby Marynia „urwała krztynę" czasu to opowiedziałaby

o Królewnie - Strzydze albo o tem, co to „Ogień nie chce kija palić, kij nie chce psa walić, pies nie chce kozy kąsać, koza nie chce gruszek strząsać...“ albo przeczytałaby o świętej Genowefie, (tej co to z sarną).

A może nawet przyszedłby pan Franciszek, brat Maryni. Brat Maryni ma bardzo gruby zegarek i przy nim kulkę z prawdziwego karabinu, Bo on służył w Woronezu i był na „maniowrach“. („Woroneż“, Wuś widzi zawsze na granatowo i na końcu jest jeden wypukły guzik, ale tego nikt nie rozumie i nie warto nawet tłomaczyć).

Brat Maryni jest grzeczny: do Maryni mówi zawsze „niech Marynia“, a Wusiowi zrobił z drzewa strzelbę, co się nazywa „wintówka“. Bo on jest stolarz i potrafi zrobić stół, krzesło, a nawet kredens.

Bardzo jest przyjemnie, jak on przyjdzie, tylko czasem to też jakoś nie można się z nim narozmawiać, bo szepcze coś Maryni do ucha i śmieją się, a Wuś się nudzi.

O tem, że do Maryni przychodzi brat, nie można mówić Mamie, niech ręka Boska broni, bo byłby rwetes. Ten rwetes to jest coś niejasnego, ale pewno brat Maryni nie mógłby już przychodzić i nie zrobiłby nowej „wintówki“. Bo tamtą, to mama kazała spalić, żeby Wuś sobie oczu nie powyjmował tem drewnem. Jak teraz Wuś będzie miał nową, to schowa ją za piecem, pod stare gazety. Dobrzeby było pójść do kuchni ale nie wiadomo, czy Mama długo jeszcze

będzie spać, czy nie. Dorośli zawsze wiedzą kiedy trzeba wstać i to jest dziwne. Wuś zupełnie nie wie, jak długo klęczy tu, przy zabawkach. Czy Mama dopiero przed chwilą spytała się: „Bawisz się, Wusiu?“, czy było to już bardzo dawno? Cały czas jest bardzo szaro w pokoju i coś nieprzyjemnie głuchego dudni w uszach, jak zawsze kiedy ktoś w domu śpi, po obiedzie i trzeba być cicho.

Żeby przynajmniej ktoś zadzwonił u drzwi wejściowych, albo żeby zapalili wcześniej lampę.

Wuś wstaje z podłogi i podchodzi do okna. Podwórze szarzeje coraz bardziej: już pod płotem koło śmietnika, jest zupełnie ciemno. Wuś klęka na ceratowym fotelu (co to od niego tak zimno w pończoszki) i wypatruje uważnie. W zmroku już tylko ledwo, ledwo widać kilka postaci koło parkanu. To pewno dzieciaki z podwórza, z któremi nie można się zadawać, ani bawić, bo mogą nauczyć różnych złych rzeczy. A przytem są bardzo bardzo brudne, bo pewno nie pozwalają swoim Marysiom wycierać sobie buzi mokrą gąbką. Naturalnie, że to nie jest przyjemne, ale już lepiej pozwolić na to, niż być takim dzieciakiem z podwórza.

Wuś zerka w „tremo“, ale tam już jest bardzo szaro i widać tylko biały kołnierzyk wykładany, który czasem tak drapie w szyję i ciągle czemś się wala.

Wuś odwraca się od okna, chociaż, chciałby

zobaczyć co oni tam robią. (Tak jakby budowali fortecę, czy coś?...)

Tymczasem w jadalnym zapalili widać światło, bo dziurka od klucza i szpara u dołu zrobiły się całkiem żółte. Wuś prędko otworzył drzwi, bo sypialny wydał mu się teraz bardzo ciemny i obcy. W jadalnym wszystko było jak dawniej i przyjemnie było znaleźć się między znajomemi meblami. Biały błyszczący samowar odbił krzywo, jak zawsze, twarz Wusia, a jego zagięte rączki ciągle trwały w ruchu służącego pieska. W oświetlonych dolnych drzwiczkach kredensu odrazu można było odnaleźć dziwnie pochyloną głowę, która zresztą zbliska rozpadała się na pokręcone kwiaty. Stół i krzesła nakryte były jasnym i ciepłym namiotem lampy i desenie oparć przypominały inne wieczory. Przyjemnie było przekonać się, że to wszystko nie zginęło i że jest uspakajająca ciągłość w trwaniu.

Mamy jeszcze nie było, więc Wuś podłożył sobie prędko niemiecką książkę na krzesło i otworzył „Bajarza". Ale jak tylko zaczął czytać, weszła Mama i Wuś nic nie rozumiał co czyta, bo musiał myśleć bardzo mocno o tem, żeby Mama nie zapytała się co czyta. Ale i tak Mama powiedziała:

— Wusiu, znowu czytasz tego „Bajarza"?

Wuś powiedział prędko, że „tak" i chciał zatkać uszy, ale mama powiedziała:

— Masz przecież tyle innych książeczek.

Wuś wykręcał się na krześle i jęczał:

— Ee, ja tamte już znam,.. ee...

Ale mama już położyła na stole tamte i trzeba było oddać „Bajarza“, chociaż przecież Wuś dostał go od panny Leonji. Wuś otworzył książkę z kotami na karuzeli. Nie była ona wcale ciekawa. Przedewszystkiem jest — tak samo jak zabawki — tylko dla dzieci, a po drugie jest wcale nieprawdziwa. Kot nie mógłby tak jeździć na karuzeli. ani pisać atramentem z dużego kałamarza.

Na pierwszej stronie zjawił się ten niesympatyczny kot ze spodkiem i koło niego wiersz, który Wuś umiał prawie na pamięć:

„Nic milszego moje dziatki, jak kot pięknie wychowany.
Tąki jak go tu widzicie, nad miseczką od śmietany“.

Wcale nie nad miseczką, tylko nad spodkiem, i wcale nie jest miły! A przytem Wuś nienawidzi tego mówienia do dziadków: zupełnie niewiadomo co to za „moje dziadki“.

Druga książka ta z dziewczynką i z kotem jest przyjemniejsza, ale wszystko tam jest smutne i jakoś wszystkie dzieci tak inaczej ubrane, że nie bardzo można się z nimi zaprzyjaźnić. Zresztą i tę książkę Wuś doskonale pamięta. O! tu jest ten dziwny pokój, do którego jest wiersz: „Izbę smutną i ubogą, przyozdobić kwiatki mogą“, Potem dwoje dzieci w koszulkach klęczy przy łóżku i jakaś dziewczynka z kapeluszem na ręku jdzie drogą...

A już na „Równiankę“ to Wuś patrzeć nie może: ciągle tylko o dzieciach i o dzieciach. I te dzieci są albo grzeczne, albo niegrzeczne. Jak

grzeczne, to ich wszyscy chwalą, a jak niegrzeczne, to się zaraz poprawią i są tak samo nudne, jak te co były od początku grzeczne.

— Mamo, to już ja wolę tę niemiecką...

Mama czyta małą książeczkę bez obrazków i ni e słyszy. Dopiero po chwili podnosi głowę i mówi:

— Co? Albo: Dobrze, dobrze.

Wuś wyjmuje z pod siebie dużą, czarną książkę i otwiera na pierwszej stronicy. Między dziwnemi dużemi literami siedzi dużo osób przy lampie. Jakiś pan czyta gazetę, pani coś szyje, a dzieci się bawią. Jednemu nawet pozwolili siąść na podłodze i on układa sobie domek z klocków.

W tej książce jest ryle rysunków, że zawsze znajdzie się coś nowego, a najładniejsze to są te, co wyglądają, jak zrobione z piernika. Naprzykład jest taki zabawny, śpiczasty domek, na balkonie siedzi pani, a pod balkonem stoi pan i pije rurką z dużej torby (a może dmucha?). Koło tego pana stoi dużo małych krasnoludków a także wiewiórka, a tu... o! tego królika to nigdy tu nie było: dopiero teraz przybył!

Na jednym obrazku jest pani i ma koszyk, a w tym koszyku marchewki, zupełnie podobne do cukierków, ale niewiadomo, co to znaczy A potem jest „historja". Wuś poprawia się na krześle i zaczyna się po kolei patrzeć, zakrywając sobie resztę obrazków ręką.

Jakiś pan pali papierosa, a pani ma pieska na kolanach i pokazuje palcem. Potem ona wy-

rzuca papierosa, a on psa i wpadają do wody. A potem wlatują przez okno do jakiejś babci i siedzą wszyscy i uśmiechają się. Wuś zamyśla. się nad tem, ale nic nie może zrozumieć

— Mamo, dlaczego oni wpadli przez okno — pyta wreszcie.

Mama jest niezadowolona i mówi:

— Widzisz lepiej jest jak oglądasz takie książki, gdzie możesz przeczytać sobie.

Wuś probuje skorzystać z okazji i ostrożnie pyta:

— Bajarza można?...

— Nie, nie można!

I zaraz mama patrzy na zegar i naturalnie robi się bardzo późno. Już lepiejby Wuś oglądał niemiecką książkę, bo i tak nigdy nie może jej skończyć.

Ale już Marynia zapala małą czerwoną lampkę w sypialnym i Wuś musi iść spać.

Jakie to jest strasznie nieprzyjemne, że tak wszystko zupełnie się skończy i zupełnie niewiadomo czy jeszcze będzie kiedykolwiek. Ale naturalnie starszym to jest wszystko jedno, zawsze jak się zacznie coś ciekawego, to jest zaraz bardzo późno i Wuś musi iść spać, a oni rozmawiają i śmieją się, że im wolno jeszcze być i że nie potrzebują się bać skończenia całego dnia.

Tak też i teraz. Marynia bije w powietrzu poduszkę, a poduszka obraca się na wszystkie strony i podstawia coraz inny bok. Potem trzeba

się rozbierać. Więc Wuś krzywi się i pyta się Maryni dosyć głośno:

— A czy pan Franciszek jutro będzie?

Marynia ogląda się na drzwi i syczy ze złością:

— Tsss!

A Wuś śmieje się i pokazuje język.

Wtedy Marynia mówi:

— Ładnie, ładnie! Już ja tak zrobię, że Wuś będzie żałował.

Wuś już żałuje i pyta się:

— A co miało być? Co miało być?

Ale Marynia nie chce powiedzieć, tylko obiecuje, że już tak nie zrobi, żeby Wuś żałował.

Kiedy drzwi za Marynią się zamykają, z sufitu zaczyna opadać ciemna mgła i osiada coraz gęściej na głowie. Jeszcze przez nią widać jak wchodzi mama i chwilę rusza się po pokoju, a potem już niema nic.

Drewniany młot uderza w kolorowy świat Wusia. Rozbiegają się zgrabne figurki, mętnieją barwy, a ciało zaczyna tracić lekkość i opadać ciężko na dół.

Drewniany młotek uderza znowu i szklana kula snu pęka:

— Niech Wuś wstaje!

Że też ciągle coś musi się kończyć bezpowrotnie! Wuś się broni, odwraca od Maryni, zatula w puszysty, ciemny sen, ale już zapóźno. Musi otworzyć oczy i zobaczyć róg poduszki i brzuchate desenie kołderki. Na ścianie z niebieskich zakrętasów, wzglądają otwarte usta i zamknięte oczy codziennego potworka. Co rano jest on tam, na swojem miejscu. Jedno jego oko jest z listka niebieskiego bukietu, drugie z ciemnego odtłuczonego tynku, a usta ma z gałązki. Teraz już Wuś wie napewno, że jest dzień. I tylko dla porządku patrzy na wypukłe wykrętasy na wierzchu pieca, z których układa się nastroszony kot.

Kot jest także na swoim miejscu.

Wuś mówi więc tylko kapryśnie:

— Tak mi się ładnie śniło!..

Marynia nalewa wody do miednicy i pyta się:

— A co się Wusiowi śniło?

Wuś próbuje sięgnąć do ostatnich barw snu ale one zapadają się prędko — prędko jeszcze głębiej i nie można za niemi nadążyć. To wygląda tak, jakby się patrzyło z drugiego końca białej lornetki Mamy.

Teraz już Wuś nic nie pamięta, ale czuje, że musi coś opowiedzieć. Musi koniecznie. Więc mówi:

— Był taki straszny las i było dużo wiewiórek, a potem te wiewiórki zaczęły tańczyć...,

Marysia przerywa:

— Czy liściasty las czy świerkowy. Bo to ważne.

— Świerkowy.

— To niedobrze—mówi Marynia—bo szpilki świerkowe znaczą nieprzyjemność.

— Ale potem mnie się śnił i liściasty - oponuje Wuś.

— To znaczy list — mówi Marynia.

Wuś myśli sobie, że on od nikogo listów przecież nie dostaje, więc pewno i to nieprawda z tą nieprzyjemnością, ale mu trochę smutno. Dopiero przy śniadaniu przypomniał sobie. że przecież żaden las mu się nie śnił i odrazu wrócił mu humor. Jak tylko wypił kakao. poprosił mamę, o kołki, o kółeczko od chrustu i okrągły koszyk. Mama pozwoliła i poszła do swojej szafy, na której jest namalowane dużo schodów. Jedne są bliżej siebie, a drugie dalej, a wszytkie są zaokrą-

glone, (nie tak, jak prawdziwe schody) i mają różne kształty. Ponieważ mama jest dzisiaj dobra, więc Wuś się pyta o te schody.

— To są słoje mówi mama.

— Słoje? — dziwi się Wuś. Wie przecież, że słoje są w spiżarni, z piklami i konfiturami.

— No, tak. Słoje drzewne — mówi mama. Bardzo dziwne jest to, że słoje szklane i słoje drzewne nie mają nic zupełnie wspólnego. Ale tak wiele rzeczy jest na świecie przeznaczonych na to, żeby ich nic a nic nie rozumieć, że Wuś nie pyta więcej. Zresztą dostał wszystko, o co prosił.

Okrągły koszyk stawia się na stole i to jest wieża. Nawet u góry jest obmurowanie i drzwi otwierają się obok, jak trzeba. Z kołków od bielizny robi się ludzi i konie. Coprawda ludzie sami nie chcą stać, ale zato koniom można rozsuwać nogi, tak, że idą, albo biegną kłusa, albo pędzą galopem. Można też wsadzać ludzi na konie i wtedy robi się wojsko.

Otóż tak: wieża jest zaczarowana i tam mieszka... Królewna? E, nie! Mieszka tam dwunastu królewiczów. Ponieważ zaś zabrakło Wusiowi dwóch królewiczów rozebrał jednego konia i miał odrazu trzech. Teraz jeden został, więc Wuś zrobił z niego zdrajcę i schował go w środku wieży. Doskonale! Teraz może się zacząć oblężenie, a w krytycznej chwili przyjedzie pan na rowerze (kółko do chrustu) i uratuje królewiczów.

Właśnie miał wystąpić zdrajca i otworzyć drzwi wieży, kiedy w jadalnym odezwały się jakieś głosy.

— Ach, naturalnie; panna Leonja! Że też Wuś zawsze o niej zapomni i ciągle musi się na nowo martwić!

— Wusiu, na lekcję! — woła mama.

Jak tylko Wuś odejdzie, to napewno Marynia całą zabawę popsuje. „Posprząta" — jak to ona mówi. Tymczasem mama stoi już w drzwiach i czeka. Wuś jeszcze ma nadzieję, że stanie się coś takiego, co przeszkodzi lekcji, ale... ale nic się dzieje. A głowa to go bolała już przedwczoraj.

Mama poprawia krawacik, który się „rozczochrał" i mówi:

— Przywitaj się grzecznie z panią.

Wuś szurga nogą, a panna Leonja mówi!

— Dzieńdobry, kochane dziecko!

Ach, jak Wuś nienawidzi w tej chwili jej pokratkowanej bluzki i bronzowej, pękatej teki i głosu i tego „Kochane dziecko"! Z rozpaczą idzie do swej hygienicznej ławeczki (wieczorem nigdy jej nie widać w jadalnym) i wyjmuje „Drugi rok czytania". Przeczytał całą tę książkę odrazu jak ją dostał i wcale mu się nie podobała, a teraz jeszcze musi ją czytać drugi raz i udawać, że to jest strasznie ciekawe. Bo panna Leonja sama się strasznie dziwi i śmieje, wiec Wuś nie chce jej robić przykrości. Panna Leonja pyta się nieraz; „Prawda jak ten chłopiec ładnie postąpił?" albo „Prawda jaka jest ciekawa ta czytanka o chlebie?„

i wtedy Wuś musi także się uśmiechać i mowić: „Tak, bardzo ładnie“, albo „Tak bardzo ciekawa“.

A naprawdę Wuś nienawidzi i tej dziewczynki z kurkami i tego staruszka siedzącego na progu i... i wogóle całej tej głupiej książki.

Panna Leonja przestała rozmawiać z mamą, poprawiła się na krześle i zaczęła mówić całkiem innym głosem. Wuś wie, że to zaczęła się lekcja.

— Porozmawiamy dzisiaj o zwierzątkach, dobrze? — mówi panna Leonja.

Wuś przecież rozumie doskonale, że to nie jest żadne „porozmawianie“ tylko lekcja i panna Leonja wcale niepotrzebnie go się pyta „Dobrze“, bo i tak będzie to, co ona chce. Ale kiwa głową i mówi: dobrze.

Panna Leonja pyta dalej tym swoim innym głosem:

— Powiedz mi, jakie to zwierzątka biegają po ulicy?

Wuś namyśla się chwilę, a potem mówi:

— Ja się jeszcze o tem nie uczyłem.

Panna Leonja jest zła i rusza ustami, ale mówi przyjemnie:

— Ależ Wusiu, przypomnij sobie, jak byłeś na ulicy...

— Na takiej... prawdziwej ulicy? — niedowierza Wuś.

— No, naturalnie.

Wuś przypomina sobie; idzie z Mamą w granatowym, marynarskim ubraniu... jakaś dziewczynka bawi się obręczą...

— No, więc? — złości się panna Leonja.

— Co?

— Jakto, co? Pytam się jakie zwierzątka widziałeś na ulicy?

— Psy.

— A jeszcze?

— Koty... — waha się Wuś.

— No, przypuśćmy. A jeszcze?

Wuś nagle zrozumiał o co chodzi: panna Leonja chce, żeby on powiedział „koniki" i zaraz zacznie się czytanka o tym siwku, co go zaprowadził gospodarz na jarmark, a potem znowu przyprowadził do domu. Panna Leonja chce, żeby Wuś sam ściągnął na siebie tę czytankę, ale to się jej nie uda..

— No co jeszcze biega po ulicy?

— Samochody—mówi Wuś z tajną radością.

— Samochody nie biegają, ale jadą — mówi panna Leonja—zresztą ja się pytam o zwierzątka.

— Zwierzątka?... Wróble! — mówi Wuś.

Panna Leonja znowu rusza ustami, a potem mówi:

— A koników nie widziałeś?

— Wuś przez chwilę miał ochotę powiedzieć, że nie, ale bał się trochę.

— Widziałem — mówi z niechęcią.

— A co koniki robią?

— Biegają po ulicy — mówi znudzony Wuś.

— Same biegają?

— Czasem we dwoje— mówi Wuś, nie chcąc nic rozumieć.

— Nie „we dwoje“, tylko po dwa, ale ja się pytam czy biegają całkiem swobodnie? Czy nie ciągną czego?

— Ciągną.

— A co ciągną koniki?

— Dorożki.

— Dorożki, bryczki, wozy, prawda?

— Tak.

— A co jeszcze robią koniki?

Wuś milczy.

— Jakiż pożytek ma z nich człowiek? Do czego ich używa?

— Można też konno jeździć — mówi wreszcie Wuś.

— Tak, konno, wierzchem.

Panna Leonja musi zawsze coś poprawić i to jest nieznośne.

— A czy „konno“ i „wierzchem“ to tak samo się jeździ — pyta Wuś,

— Tak samo, moje dziecko. Właściwie są to dwa słowa na oznaczenie tej samej czynności, rozumiesz?

Wuś nie rozumie, ale kiwa głową: niech jej tam będzie.

— No, a do czego jeszcze używa człowiek konika? Czy naprzykład wieśniakowi jest potrzebny konik?

Wuś czuje, że nie wykręci się od czytanki o siwku, więc mówi z rezygnacją:

— Tak, potrzebny, bo może go sprzedać na jarmarku.

Panna Leonja się śmieje (niewiadomo czego) i mówi:

— A do pracy w polu?

Teraz Wuś się na wszystko zgadza byle skończyć prędzej z siwkiem:

— Potrzebny.

— Więc właśnie przeczytamy o jednym wieśniaku który miał konika.

No, naturalnie. Teraz już niema wątpliwości Panna Leonja szuka w książce, potem kładzie ją przed Wusiem. Wuś czyta źle: przekręca słowa, zjada litery, krztusi się, spieszy... Aby prędzej skończyć!

Panna Leonja chrząka i znowu poprawia się na krześle:

— Powiedz mi co się działo w chacie, kiedy gospodarz poprowadził siwka na jarmark.

Wusia nic, a nic to nie obchodzi, co się tam działo, ale odpowiada:

— Martwili się.

— Tak, martwili się, smucili. W chacie gospodarza zapanował smutek, prawda?

— Prawda. A czy to koń, proszę pani, może wchodzić do domu?

— Do domu? Tak zapewne.. Zresztą może on tylko wsuwał głowę.

— Nie, bo tu jest napisane, że on wchodził.

— Może być. A powiedz mi...

Wuś nie słyszy pytania, bo myśli właśnie, że panna Leonja nigdy nie wie najważniejszych

rzeczy. Powie coś ni tak, ni owak i wraca do swojego.

— Więc?

— Co?

— Pytam się co się działo w chacie, kiedy gospodarz powrócił z siwkiem z jarmarku?

— Cieszyli się — prędko zbywa ją Wuś i porusza zagadnienie istotne — A dlaczego jak on świsnął, to siwek leciał, kiedy dorożkarze zawsze cmokają na konie.

— Widać tak go nauczył. A zresztą nie wiem czy zawsze się cmoka na konie.

— Zawsze! — powiada urażony Wuś i stwierdza, że panny Leonji nie warto pytać o ważne sprawy. Pan Franciszek to pewno będzie wiedział, czy na konie można świstać, żeby leciały. Ale gorsze jeszcze chyba niż czytanka to są te pytania panny Leonji o tem „co kto robi“ albo „o kim się mówi“ albo „co się o kimś mówi“. Zupełnie już niewiadomo o co jej chodzi. Właśnie zaczyna się:

— Powiedz mi coś o szewcu.

Co Wuś może pannie Leonji powiedzieć o szewcu? Oczywiście coś nowego, nieznanego, bo to, co każdy wie, jak naprzykład, że robi trzewik, to nie warto mówić.

Ale panna Leonja się złości:

— No prędzej, Cokolwiek.

Ha, jak cokolwiek... Wuś mówi to, co wie i widział każdy, więc i panna Leonja:

— Szewc stuka sobie w kolano.

— Jakto w kolano?

Masz tobie! Więc tego nawet nie wie panna Leonja? Wuś tłomaczy:

— No naturalnie. To można zobaczyć przez okno. Siedzi głęboko w suterynie i bije się młotkiem w kolano.

— Aa, to pewno w trzewik tak stuka?

— Nie, w kolano. Z okna można zobaczyć.

Ale panna Leonja nie chce się zgodzić i mówi:

— Powiedz jeszcze o szewcu.

— Szewc jest niecnota — mówi Wuś.

— Niecnota? Dlaczego? — dziwi się panna Leonja.

— Tak jest przecie powiedziane o kocie w mojej czytance — mówi trochę zawstydzony Wuś. Ale zarazem zbiera go gniew: panna Leonja sama mówi „cokolwiek" a potem do wszystkiego się przyczepia.

— Tak, ale ten kotek pewno zrobił coś brzydkiego — mówi panna Leonja — Może zjadł wróbelka?

— Nie, tylko wypił mleko.

— No, widzisz...

Co tu można wiedzieć? czy wróbelek i mleko to jedno i to samo? Wuś przecież pije mleko bardzo często...

Panna Leonja mówi dalej:

— A szewc przecie nic złego nie zrobił. Przeciwnie uszył ci trzewiczki, prawda?

— Te, to nie. Te to mama kupiła w sklepie.

Panna Leonja rusza ustami i mówi prędko:
— Mniejsza o to. Niech będzie „szewc jest niecnota". Otóż to, co powiedziałeś, jest zdanie. Pamiętasz, co ci tłomaczyłam, że każda myśl wyrażona...

Wusia zaczyna to korcić: jakto? to nic nie można powiedzieć, żeby to nie było zaraz zdanie? Otóż nie. Wuś musi coś takiego powiedzieć, żeby to na złość nie było zdanie.

— Proszę pani, ja jeszcze coś powiem o szewcu.

— Dobrze, dobrze, moje dziecko — mówi z zadowoleniem panna Leonja.

I Wuś już nawet nie zwraca uwagi na to „moje dziecko", tylko zaczyna gorączkowo trzepać.

— Szewc jest stary. Szewc jest za oknem. Szewc ma stolik. Szewc ma fartuch...

— Dobrze, dobrze — mówi spokojnie panna Leonja — To wszystko są zdania.

I to zdania! Wuś czuje, że panna Leonja jest naraz w stu postaciach, dokoła niego i gdziekolwiek Wuś się obraca, cokolwiek powie, ona uśmiecha się złośliwie i mówi:

— To jest zdanie.

— Szewc ma brata. Szewc był w sklepie...

— To wszystko...

— Szewc jest osioł!—krzyczy wreszcie Wuś.

— Wusiu, jak można tak...?

Acha, więc jednak! To nie było zdanie, ale ona się wykręca i nie przyzna się. Wuś śmieje się skrycie i robi mu się wesoło. Nawet

jak panna Leonja się odwraca, to rusza za nią ustami.

Rachunki zrobił prędko i już nawet starał się nie zwracać uwagi na ciągłe pytania panny Leonji.

Uff! wreszcie: wchodzi mama i panna Leonja się podnosi. Jeszcze chwilę rozmawia z mamą, (że też mamie się chce!) potem zabiera swoją tekę i wychodzi.

Mama mówi:

— Teraz Wuś zrobi gimnastyczkę, a potem wyjdziemy na spacer.

Wuś wygina się prędko kilka razy i macha byle jak rękami, a potem biegnie do przedpokoju po palto.

Za chwilę już idą z mamą, po ulicy, gdzie jest dużo obcych i nowych rzeczy. Biegają różne psy, chodzą dzieci, migają śmiesznie koła dorożek i co chwila jest jakaś ciekawa wystawa. Właśnie przeleciał całkiem czarny pies, z dużą szerścią koło szyi, a z krótką na grzbiecie i z pędzelkiem na końcu ogona.

— Mamo dlaczego ten pies taki? — pyta Wuś zadzierając głowę do góry.

Ale mama nie widziała tego psa. Wogóle ci starsi, to niewiadomo gdzie patrzą, bo nic nie widzą. Nie widzą, ani dzieci, ani psów, tylko patrzą gdzieś do góry.

— To pewno był pudel — mówi mama.

Wuś powtarza głośno:

— Pu-del, pu-del, pu-del...

Z początku powtarzał tylko tak sobie, a teraz to mu przyjemnie, jak dźwięki tak wyskakują wyraźnie i składają dziwne słowo. „Pudel“ jest sprężysty, biały, przyjemny w zębach jak guma i pachnie cynamonem. Ale kiedy tak długo powtarzać, to słowo już nic nie znaczy i nawet dziwnie się robi, że takie właśnie wymyślili starsi dla czarnego psa.

— Mamo, a dlaczego taki pies jest pudel?

— Tak się nazywa. Taki gatunek.

— No, dobrze, ale dlaczego „pudel“? Pu-del, pu-del...

— Nie nudź, Wusiu. Tak go nazwali.

Potem przyszli między drzewka i Wuś prędko pobiegł od jednego do drugiego i czekał na mamę. Miał ochotę biegać, kręcić się prędko koło dzewka i bardzo głośno krzyczeć „pudel“. Ale mama powiedziała:

— Wusiu, na ulicy się nie biega.

— A gdzie się biega? — mówi niechętnie Wuś, idąc znów koło mamy.

— W ogrodzie.

— A tu są też drzewka.

— Ale to jest ulica. Zresztą i tak jesteś zwykle zmęczony po spacerze, chociaż tylko chodzisz.

— Ale bo ja mniej się męczę, jak biegam naprawdę! — tłomaczył Wuś.

To nie pomaga. Teraz więc Wuś ogląda tylko wystawy. Cóż, kiedy wielu rzeczy się zu-

pełnie nie rozumie, a mama nie lubi, jak się dużo pytać i ciągle stawać.

Ale teraz mama nagle stanęła i do kogoś mówi, Wuś odwrócił się od wystawy, stanął trochę z tyłu (żeby się nie witać) i przyglądał się państwu Twardowskim.

On miał jak zawsze bronzowy, wydęty kapelusz i zupełnie krzywą twarz, a od niej pachniało czemś duszącem i twarz miała obwisłą.

— Kochana pani — mówiła trochę skrzekliwie pani Twardowska i wzięła mamę za obydwie ręce. — Cóż u kochanej pani słychać? Mieliśmy właśnie w tych dniach.. ale moje zdrowie, pani wie...

Pani Twardowska zamknęła nagle usta i kiwnęła kilka razy głową, podnosząc strasznie oczy do góry. I powtórzyła bardzo dużo razy i coraz ciszej:

— Moje zdrowie, tak! moje zdrowie, moje zdrowie, moje zdrowie...

Pan Twardowski prędko zdjął swój bronzowy kapelusz i pocałował mamę w rękawiczkę, a potem stuknął się głośno kapeluszem w głowę i powiedział prędko, porwanemi na kawałki słowami:

— Jak się masz, berbeciu? Cóż uczysz się?

Wuś dosyć lubił pana Twardowskiego, bo zdawało mu się, że jemu też wiele rzeczy było nie wolno i musiał często być grzecznym. A kiedy w pokoju nie było pani Twardowskiej, pan Twardowski uśmiechał się bardzo przyjemnie i rozmawiał z Wusiem.

I teraz Wuś chciał z nim porozmawiać, ale

już zobaczyła go pani Twardowska i musiała go pocałować.

Biedne dziecko! — mówiła do mamy. Nie uwierzy pani, jak mi wrosła w serce ta dziecinka! Taka już jestem. Taka jestem. Taka jestem...

Mama myślała, że pani Twardowska już skończyła i chciała coś powiedzieć, ale pani Twardowska powiedziała znowu głośniej:

— Mąż mi nieraz mówi: „Nie przejmuj się cudzemi sprawami! Nie gryź się!“ Cóż? Nie mogę kochana pani. Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę.

Pani Twardowska mówiła tak, jakby ją coś bardzo bolało i trzymała rękę na piersiach, a panu Twardowskiemu jeszcze więcej skrzywiła się twarz.

— Chcemy zabrać panią do teatru — powiedział naraz, ale pani Twardowska popatrzyła na niego długo i pan Twardowski znowu nic nie mówił.

— Chciałam kochaną panią rozerwać — mówiła pani Twardowska — i postanowiłam zabrać panią...

Mama mówiła coś z uśmiechem, potem znowu mówiła pani Twardowska, a Wuś i pan Twardowski odeszli trochę na bok.

— Proszę pana — powiedział cicho Wuś — dlaczego starsi nazwali czarnego psa—pudel?

Pan Twardowski powiedział także cicho:

— Żeby się nie omylić. Każdy pies inaczej się nazywa, żeby się ludzie nie mylili. Takiego,

co ma wiszące uszy i gładką sierść w plamy nazwali—wyżeł, a takiego znów pudel.

— Ja widziałem takiego... „wyżeła"—oświadczył Wuś.

Pan Twardowski podniósł brwi, jakby nie wierzył, ale potem kiwnął głową:

— I pudla widziałeś?

— Tak. Dzisiaj widziałem.

Pan Twardowki znowu kiwnął głową i powiedział:

— Pójdziesz do teatru z mamą... — a potem dodał — pewno...

— Czy i pan też?

— I ja... pewno... pójdę. Zobaczysz „Pana Tadeusza".

Wuś ma ochotę spytać jeszcze co to wszystko znaczy, ale pani Twardowska znowu go całuje i mówi:

— To i dla Wusia będzie stosowna sztuka. Inaczej nigdybym pani nie namawiała. Aaa, nigdy! aaa nigdy! nigdy!

Potem też nie było czasu się spytać, bo Wuś z Mamusią prędko wrócił do domu, a potem był obiad, a potem poszli z Mamą znowu na ulicę, chociaż już było ciemno i paliły się latarnie. Wszystko ruszało się bardzo prędko, migały się różne światełka, konie i ludzie; aż Wuś z Mamą przyszedł na schody dużego kościoła. Mama otworzyła strasznie wysokie i ciężkie drzwi i weszli do salonu, gdzie się wszyscy rozbierali. Więc to chyba nie był kościół.

Jakiś pan wziął od Mamy ubranie, a potem szli po bardzo czerwonym dywanie, położonvm na schodach. Potem pachniało bardzo łaskocząco i było bardzo dużo drzwi z gładkiemi, okrągłemi jak guziczki klamkami.

I tu właśnie zobaczył Wuś pana Tadeusza. Tak, to on był napewno. Miał zaokrąglone czarne wąsiki i bardzo ładnie wyszywany złotem mundur. Otworzył Mamie drzwi i powiedział bardzo prędziutko i przez nos:

— Łaskawej pani program?

Potem znikł za drzwiami, a przed Wusiem, otworzyło się coś dziwnego: za drzwiami wcale nie było pokoju, tylko dużo balkonów i ściana i dużo ludzi. Wuś z Mamą też byli na balkonie i było trochę nieprzyjemnie, jak było spojrzeć na dół, gdzie chodzili ludzie.

Potem przyszli państwo Twardowscy i zaraz zrobiło się ciemno i duża ściana zmieniła się w firankę, a za nią znowu było podwórze. a na tym podwórzu znowu stał dom. To już było nie przyjemne i zupełnie niezrozumiałe i Wuś pomyślał, że już nigdy nie trafią stąd na ulicę i do domu. A przytem było bardzo ciemno i wszędzie siedzieli cicho ludzie i nie ruszali, się jakby się im co stało.

Na podwórzu chodziło teraz dużo ludzi i wszyscy mówili, ale nie można było zrozumieć o co im chodzi. Potem jedli obiad i strasznie się pokłócili, ale niewiadomo o co. Potem znów się zrobiło widno, ale pan Tadeusz nie przychodził

Pani Twardowska mówiła teraz do Mamy i wszyscy wszędzie mówili i było bardzo widno aż bolały oczy. Wuś zaczął także głośno mówić, żeby nie słyszeć jak mówi pani Twardowska, ale Mama spojrzała na niego i Wuś przestał mówić. Po chwili dopiero spytał się pana Twardowskiego:

— A dlaczego nie przychodzi pan Tadeusz?

Pan Twardowski powiedział:

— Jak się zrobi ciemno to przyjdzie.

Wuś siadł teraz bliżej drzwi, żeby widzieć jak przyjdzie pan Tadeusz, ale choć było już ciemno i choć patrzył na drzwi nikt nie przychodził. Tylko na tem podwórzu zrobił się krzyk i Wuś się bardzo przestraszył i nie rozumiał dlaczego ludzie strzelają i zaczął płakać. Mama mówiła, że nie trzeba się bać i że to nic nie szkodzi bo to przedstawienie.

Ale pan Tadeusz już nie przyszedł, tylko potem jechało się do domu dorożką i chciało się spać.

Dzisiaj jest jakoś nie tak, jak zawsze.

Mama wyszła z domu przed południem, w pokoju było jakoś widniej i weselej, a w kuchni straszny ruch i słychać głoś Marcinowej.

Wszystko to jest dziwne i godne uwagi, to też Wuś wstał o wiele prędzej, niż zawsze. Marynia nie miała czasu i kazała Wusiowi samemu się umyć, bo to wstyd, żeby taki duży chłopak potrzebował niańki. Zaraz potem Marynia wyszła z pokoju, tak, że nawet nie warto było grymasić. Wuś ubrał się, tylko nie włożył kołnierzyka i krawacika.

— Rzęk — rzęk — rzęk!

Wuś pobiegł natychmiast do jadalnego, stanął na krześle i... Co za wspaniałość!

Wszędzie jak rzucić okiem świąteczny, biały uroczysty śnieg. Wszędzie dzwonią dzwonki i pachnie choinką.

Wuś śmieje się głośno i ze szczotką w ręku biegnie do kuchni:

— Maryniu, na ulicy jest śnieg!

— Wiem, wiem. Niech Wuś nie przeszkadza.

Wuś nie obraził się nawet, bo przecież jest tak strasznie biało wszędzie, Trzeba zaraz polecieć i ulepić sobie kulkę. Ale to koniecznie!

Już Wuś chce pobiedz po Marynię, ale... Tak, Marynia zajęta, Mamy niema, a samemu nie można. Wolnym krokiem idzie Wuś do okna i wygląda na podwórze.

Naraz... Co to? Ależ naturalnie: to te dzieciaki. Im to wolno! Bałwana robią i strasznie wesoło krzyczą, tak, że wszystko słychać. Ten w żółtej czapce, to pewno dowódca, bo pokazuje gdzie postawić kulę. O, i nawet jedna dziewczyna jest między nimi.

Wuś przylepił się do szyby i patrzy chciwie uważnie. (Im to wolno!) Szczególniej godnem zazdrości jest stanowisko tego w żółtej czapce — dowódcy.

A dowódca to naprawdę nielada: wszystkich bierze „na rękę"i nie boi się nawet Marcina, choć ten obiecał go przemierzyć miotłą.

Walek za to śpiewa mu z za węgła:

U Marcina
Zdechła świnia.
Bo ij żryć nie dała
Jego gospodynia!

A kiedy Marcin chce go złapać, Walek ucieka przez dach komórek na swoje podwórko i krzyczy, że Marcin do niego nie ma prawa. Ale teraz niebezpieczeństwa niema i Walek komenderuje:

— Te Franek! Dymaj, przynieś dwa wągle.

— Wągle? Skąd ja wezmę?

— Ale „skąd wezmę“! Poszukaj to weźmiesz.

I Franek idzie poszukać, a Walek komenderuje dalej:

— No, kataj, kataj, bo trzeba głowę robić Ale nie na wałek, a na okrągło!,.. Ech! — machnął ręką desperacko i sam wziął się do roboty.

Taką tam podstawę, to jeszcze potrafią ulepić, ale głowę to trzeba samemu robić, bo spartolą. Ostrożnie niesie się na brzuchu dużą kulę śniegu i powoli osadza na kadłubie. Z boku się trochę obsypało, ale to nic. Jeszcze wsadzi się węgle i fertyg.

— A tera będzie wojna! — ogłasza Walek— To jest germaniec, a my jesteśmy „nasze“. Kto mu zwali łeb od trzeciego razu?

— Ale! — krzywi się Józik od krawcowej— Od trzeciego to mało. Od piątego.

— Tak, od piątego! — wydziera się Franek i inni.

Walek ustępuje dla świętego spokoju.

— Kiedyście takie niezdary... Ale od równej linji!

I obcasem rysuje na śniegu linję.

Za chwilę każdy ma kule na lewym rękawie i stoi na linji.

— Po kolei!

Józik to nawet nie może dorzucić do bałwana, ale Franek i Władek też nie mają „celu w oku.“ Na Wiktę ma się rozumieć, nie warto nawet patrzeć: rzuca po babsku, nad głową.

Teraz Walek. Pierwsza i druga kula utkwiły

w brzuchu bałwana, a trzecia w głowie, ale jej nie zwaliła, niewiadomo więc czy się liczy. Walek nie zgadza się, żeby — „od początku“ i woła:

— A teraz w złodziei i policajów! Kto dostanie dwa razy kulą — zabity.

— Dobra!

— Ja będę złodziejem' — mówi Walek.

— I ja! i ja! i ja!

— Wszystkie przecie nie mogą złodziejami!— mówi Walek i wyznacza na policajów Wiktę i Józika, nie zważając na ich protesty.

Walkowi zdaje się w tej chwili, że jest takim prawdziwym złodziejem, co to może otworzyć każdy zamek i po dachach chodzić i nasypać proszku „śpiącego“ policajom... Strzela więc w szalonym tempie, nie chowając się za komórkę. Przyłączył nawet do policajów Franka i wszystkich pozabijał, ale wskrzesił ich łaskawie i zapowiedział, że teraz się liczy od trzeciego razu.

Latają znowu śnieżne kule, walka trwa i ani się pamięta o zgrabiałych, czerwonych łapach i o uszach swędzących: tu chodzi o to—czyje na wierzchu!

Głośne ich krzyki dźwięczą nieco mętnie za szybami piętra, ale Wuś słyszy je doskonale. Słyszy i myśli, że musi to być strasznie przyjemnie bawić się w taką wojnę i być dowódcą, ale cóż?.,.

Wuś złazi z fotela i ogląda się na na szaro-żółty pokój. Jest mu trochę duszno i trochę

smutno. Ale łykając starannie coś, co mu stanęło w gardle mówi sobie:

— Ale oni są brudasy! I...i nie można się z niemi zadawać.

I nagle Wuś łapie swój kołnierzyk szeroko wykładany i krawacik i długo męczy się przed tremem, zakładając i wiążąc nieposłuszny węzeł.

Dzwonek!

Rzeczywiście nie mogła sobie lepszej pory wybrać panna Leonja! Zawsze przyjdzie właśnie wtedy, kiedy się człowiek najmniej spodziewa i ma coś ważnego do robienia, albo myślenia.

Panna Leonja ma dziś czerwony nos i mówi nieprzyjemnie:

— Więc co to jest orzeczenie?

Wuś czuje, że panna Leonja go zaraz wykrzyczy, więc szuka na gwałt w myśli, ale pouciekały gdzieś głupie, niepotrzebne słowa. Przecież od wczorajszej lekcji upłynął cały dzień. Cały dzień—cały wiek! Przez ten czas Wuś był na spacerze i widział pudla, i państwa Twardowskich i był pan Tadeusz w tym... teatrze i jechał dorożką i padał śnieg i patrzył na dzieciaki z podwórza i dopiero teraz jest panna Leonja.

— Słuchaj jeszcze raz: orzeczenie...

Wuś słucha jak śmiesznie brzęczy głos panny Leonji. myśli zaczynają mu skakać, zaczepiać się jedna o drugą, plątać rozwijać, mieszać i układać.

— Orzeczenie... rzęk—rzęk—rzęk! —dzwonią dzwonki u sanek, a w tych małych, zabawnych saneczkach siedzi gruby pan dorożkarz... albo

lepiej — jest to Królowa Zima, a sanie są całe białe i pokryte niedźwiedzią skórą. Ale te sanki nie jadą do kraju za siedmioma górami, tylko na tą ulicę, gdzie jest sklep z tą dużą strzelbą (pewno prawdziwą) i kolorowym celem...

— Orzeczenie!

Drewniany głos szarpnął Wusiem, wyrwał z białych saneczek i posadził w ławeczce przed panną Leonją. Wuś patrzy szerokiemi oczami na pannę Leonję, ale w głowie ma taką pustkę, jakbv ktoś wydmuchał mu wszystkie myśli.

— Nie, tego doprawdy zanadto!—mówi głośno panna Leonja i jest całkiem czerwona—widzę, że jestem za dobra dla ciebie... Upierasz się... nie uważasz...

I zaraz wchodzi Mama.

Wuś czuje w powietrzu dziwny stukot młoteczka, który uderza go w skroniach, coś ciężkiego siadło mu na piersiach, do gardła skoczył twardy kłębuszek, uszy palą, a w oczach piecze coś nieznośnie.

A Mama mówi z daleka głuchym i dudniącym głosem:

— Więc nie chcesz się uczyć? Wiesz, że wpędzasz matkę... wolisz do szewca... trzeba się będzie wziąć do ciebie... gdyby żył ojciec...

Ile razy Wuś słyszy o wpędzaniu do grobu i ojcu, zawsze płacz rozsadza mu pierś, ale powstrzymuje się, żeby nie beczyć przy tej... tej...

A ona właśnie korzysta z sytuacji i stuka coś drewnianym głosem:

— Pani wie... najnowszą metodą... zawsze dziatwę kochałam... długo nie chciałam...

Mama mówi znowu gdzieś daleko:

— Idź do sypialni!

Chwała Bogu! Chwała Bogu! bo już zaraz za drzwiami wybucha Wuś nieprzepartym płaczem, który wyrywa się z niego przez całe ciało, wyłamując boleśnie kości. Rzuca się Wuś na swoje łóżeczko, wtula w poduszkę i wstrząsa się, zachłystuje rozpaczliwie, beznadziejnie. Płacze całym sobą, płacze dusząc się nadmiarem łez, które zalewają go bez końca, duszącą falą.

Wuś zadowolony jest, że nikt go nie widzi, że może nie wstydzić się swego płaczu, ale jest, mu też smutno, że nikt go nie widzi jak jest nieszczęśliwy.

Wypłakuje Wuś męczącą nieświadomość niezrozumianych słów i rzeczy, i zamkniętą w szarożółtym pokoju ochotę zrobienia czegoś i jakiś straszny żal, który niewiadomo jak się nazywa, ale rośnie tak bardzo, że przesłania wszystko.

Teraz Wuś płacze, już coraz ciszej i bezboleśniej, jakby ze łzami wypłynął ten kłójący w piersiach ból i tylko wielkie, leniwe znużenie płynie mu po całem ciele. Potem przychodzi cichy, dobry sen...

— — — — — — — — — — — —

Teraz w pokoju już jest ciemno, a przez uchylone drzwi słychać przyjemny brzęk naczyń w jadalnym. Wuś przyciska jednym palcem oko i wtedy promienie ze szpary i dziurki od klucza

rozchodzą się śmiesznie, a z boku wysuwa się niebieska kula ze złotym obrębem.

Do sypialnego wchodzi Marynia i pyta:

— Czy Wuś śpi jeszcze?

Wuś oczywiście nie odzywa się, bo jest skrzywdzonym przez wszystkich i na wszystkich obrażony. Ma coprawda ochotę wyskoczyć z łóżka i krzyknąć: „Hu!", żeby Marynię przestraszyć, ale czuje, że tego zrobić nie można.

Marysia przekręca guzik i dokuczliwe, białe światło zapiekło oczy. Wuś odwraca się do ściany i mruczy coś grymaśnie, żeby Marynia nie myślała, że wszystko jest już skończone, jak ona zapali światło. Ale Marynia mówi:

— Pani powiedziała, że Wuś za karę będzie jadł osobno kolację.

Wuś natychmiast odwraca się od ściany:

— Tak? Tu w sypialnym?

— Tak.

— To Marynia mi postawi na nocnej szafce tak, jak wtedy jak Mama była chora?

— Chyba, że tak...

Właściwię Wuś powinien być zmartwiony, kiedy to za karę, ale... zawsze to ciekawiej tak jeść na szafce, niż przy stole. I można włożyć kartofle do zupy i robić wyspę i most i groblę... A jak nie będzie zupka tylko kotlecik z kartoflami, to można widelcem robić na kartoflach desenie.

— A co jest na kolację? — pyta wstając z łóżka.

— Kotlety.

No, to wszystko w porządku. Chce Wuś nawet powiedzieć coś przyjemnego Maryni i zarazem przypomnieć jej, że ona przynajmniej powinna być dla niego dobra, bo on o czemś wie, a nie paple. Pyta więc:

— Kiedy przyjdzie pan Franciszek?

— Niech-że Wuś da spokój z tem pytaniem!

— Ja przecież nikomu nie powiem, tylko się pytam.

— Może jutro będzie. Ja tam wiem?

— A ja pójdę jutro z Marynią na spacer?

— Może pani pozwoli...

Teraz Wuś ma dwie rzeczy do przyjemnego myślenia: pan Franciszek i spacer z Marynią. Zakłada sobie serwetkę pod brodą, jak to robi doktór Straus, kiedy zostaje na kolacji i zabiera się do jedzenia.

Tego dnia nie było lekcji a obiad Wuś także jadł osobno. A panna Leonja była na obiedzie jadła z Mamą w jadalnym. Na obiad były kurczęta i Wuś dostał całą połówkę i obgryzał sobie, i był kisiel, z którego tak doskonale robi się wyspa. Teraz Wuś próbuje się bawić: wysunął szufladę i patrzy bez ruchu na swoje zabawki. W jadalnym już cicho: pewno panna Leonja z Mamą poszły do salonu. Wuś stoi nad szufladą i robi mu się coraz smutniej...

Przypominają się Wusiowi inne nudne, puste popołudnia, tak wszystkie podobne do siebie. Znowu nikogo niema, znowu niewiadomo w co się bawić i tak wszędzie cicho, aż coś dzwoni przeciągle, długo w uchu. I tak dziwnie się robi jakby ktoś wołał zdaleka i boli w piersiach i płakać się chce i smutno bardzo. A pokój jest taki pusty, otwarty szeroko, jakby ziewał.

Wuś porwał się naraz z miejsca: pójdzie do Mamy, przeprosi... Przeprosi nawet tę... pannę Leonję.

Przez milczące pytająco pokoje, idzie Wuś do Mamy. W piersiach nabrzmiewa mu znowu

płacz, ale płacz inny, niż wczorajszy. Płacz serdeczny, rzewny, kochający, który wytryśnie po jednem słowie Mamy. Po jednem słowie...

Cicho otwiera Wuś drzwi salonu i — staje bezradnie: niema Mamy. Nikogo niema. Mieszkanie jest puste i dudni w niem głucha cisza, a białe meble udające spokój i powagę, wykrzywiają się i przedrzeźniają za plecami Wusia.

Powoli, ostrożnie cofa się ku drzwiom, a kiedy przechodzi się przez próg—za nic nie można się obejrzeć, bo coś złapie nisko za nogę.

I naraz Wuś biegnie całym pędem do kuchni, otwiera gwałtownie drzwi i zatrzaskuje za sobą. Teraz już odciął łeb długiej ciemnej liszce, pełznącej za nim przez wszystkie pokoje. Marynia krzyknęła i odskoczyła od pana Franciszka.

— Cóż to Wuś wlatuje jak bomba!—zaczęła ze złością — Powiem Mamie..,

Ale naraz dodała innym głosem:

— A jest Mama?

— Niema! — tryumfuje Wuś i rozstawia szeroko nogi.

— No, to dobra nasza! — mówi wesoło pan Franciszek.

— Dobra nasza!—powtarza Wuś i śmieje się.

W kuchni jest cieplej niż w pokoju i tak zatulnie, blisko, jak w koszyczku ze szczeniaczkami, Na lampce jest klosz z czerwonej bibułki i wszystko jest ciepłe, a sztywne papierki na półkach, powycinane w koronki, wyglądają jak świeża sobotnia bielizna,

Wuś wchodzi (z nogami) na łóżko Maryni i gnieździ się tam z zadowoleniem:

— Niech Marynia powie jaką zagadkę! — prosi przeciągle.

— E, tam — zagadkę! Czy to Wuś się nie uczy z książeczek ładniejszych?

Wuś otwiera szeroko oczy.

— Z książeczek? ładniejszych? Wcale nie Powiedz, powiedz!

Ale Marynię uchwyciła czkawka i zaczęła pić wodę blaszaną kwartą.

— Ktoś mnie wspomina — powiedziała do pana Franciszka. A pan Franciszek zrobił się zły i powiedział:

— Lepiej niech nie wspomina.

Jakie to dziwne, że Marynia zawsze wie, jak ją ktoś wspomina i zawsze ma wtedy czkawkę. A jak ją wspomni szwagier, to zaraz uderzy się w łokieć, a jak ją kto obmawia to ją swędzą uszy a jak ma się z kim witać, to ją swędzi ręka... Bardzo to dziwne!

I na wszystko ma sposób: jak się sparzy w palec, to się złapie za ucho i zaraz przestanie ją piec; jak niechce kichnąć to się potrze między brwiami i nie kichnie. Albo i teraz: pije wodę małemi łykami, a potem zatyka sobie nos i nie oddycha, aż się zrobiła czerwona.

Wuś też zatyka sobie nos i nie oddycha, aż mu w uszach zaczyna szumieć, a potem śmieje się głośno:

— Ale zagadka, zagadka! — przypomina Maryni.

— Siedzi panna w oknie, warkoczyk jej moknie — mówi Marynia.

I Wuś wie, że na to trzeba odpowiedzieć „igła“, ale zaprawdę to widzi tę czerwoną portjerę z salonu wywieszoną przez okno, z frendzlami zaplecionemi w drobne warkoczyki, a na niej siedzą takie cztery białe panny, co nosiły na kijach obrazy po ulicy latem.

— No nie wie Wuś?

— Wiem, igła!... A jeszcze...

— Przyjechała Niemka, czerwona sukienka, jak ją rozbierali, to wszyscy płakali...

— Cebula! — woła Wuś i widzi wojłokowe chodaki Maryni, w których jakaś gruba niewyraźna postać jedzie na kółku od chrustu, jak na rowerze.

— A teraz opowiedz o Strzydze! — prosi Wuś i miły dreszczyk strachu przelatuje mu po grzbiecie.

— Jeszcze się Wusiowi przyśni! — broni się Marynia,

Wuś wie, że tam, za drzwiami kuchni, w ciemnym pokoju, mogą się dziać różne straszne rzeczy, ale tu w ciepłej i widnej kuchni czuje się bezpiecznym.

— Wcale się nie boję! — wydyma pogardliwie usta — Jabym taką Strzygę tylko wodą święconą pokropił...

— Ja to tam z rewolwerem na każdego stracha bym poszedł — mówi pan Franciszek.

Marynia i Wuś patrzą na niego z uszanowaniem, ale trochę zaskoczeni są jego cynizmem

— Albo to kula chyci się takiego? — mów. Marynia.

Pan Franciszek się śmieje i mówi:

— Jak jego kula się nie chyci, to i on nic nie zrobi. A jak on mi co zrobi to i ja mu zrobię Żebym takiego spotkał...

— O, Jezu! Umarłabym...

— Iii! Czego tam... A zresztą — czy to są naprawdę takie tam... strachy?

— O, Jezu! Nie byłoby?

— Pewnie, że niektóremu się zjawi... Szczególniej jeśli pijący dużo. Z pijaństwa jemu oczy się zepsują i widzi on różne tam... Ale żeby naprawdę...

— No, to ja powiem co mojemu stryjowi się zdarzyło! Całkiem zupełnie nie pijący był człowiek. I było to tak...

Wuś poprawia się na łóżku i zasiada wygodniej, bo zaczyna się „historja".

I opowiada Marysia, jak stryj znalazł w zimie, w śniegu, czarne koźlątko i wziął pod kożuch i szedł do chałupy, a ono furt na niego się patrzyło. I powiedział stryj do niego dobrym głosem: „koziu, koziu ciepło ci?" A ono jak się nie wyszczerzy, jak nie zaskrzeczy ze śmiechem: „koziu, koziu ciepło ci?" Tak się wydrzyżniło nieczyste!...

Wusiowi aż serce stanęło na chwilę, a pan Franciszek jeszcze się nie przekonał, tylko mówi:

— A dlaczego to ja nie widziałem nigdy żadnego... takiego? Bo nie piję, uczciwie się rządzę, rzemieślnik jestem solidny i swój rozum mam. To i sam stracha się żadnego nie zlęknę i jeszcze kogo mógłbym wziąć na opiekę, nie przymierzając.

Marynia odwraca się i mówi.

— E, tam. Niech Franio nie opowiada byle czego!

Potem mówią coś cicho do siebie, jakby zapomnieli o Wusiu. Więc Wuś mówi:

— A ty mnie obiecałaś dawno, że mi przeczytasz z Bajarza.

— Przecie Wuś sam umie czytać.

Ale Wuś wie, że Marynia lubi czytać przy panu Franciszku i że pan Franciszek słucha bardzo uważnie, więc upiera się:

— Nie, nie! To wszystko jedno. Obiecałaś. I tam dalej jest bardzo ciekawe.

— I jabym posłuchał — mówi pan Franciszek.

— No, to niech Wuś przyniesie Bajarza.

Ale Wusiowi na samą myśl o ciemnych pokojach robi się straszno i woła:

— Nie, ja nie mogę zejść bo się „ugnieździłem." Ale on tam leży zaraz na wierzchu na półce.

Marynia wychodzi zupełnie śmiało i za chwilę wraca z Bajarzem. Przewraca potem kartki w zupełnej ciszy i zatrzymuje się na jednej. Powoli

i z powagą wydobywa słowa z kartki, a każde z nich jest znaczące, ważne... I pod papierowemi firankami zaczyna dziać się najpiękniejsza w świecie rzecz, obudzona zwykłemi słowami:

— Był raz sobie...

Jest to bajka o wieszczym Siwku — złotogrzywku i królewiczu Sobieradku. Sobieradek był ze wszystkich braci najmłodszy tak, że mógł swobodnie wejść pod stół. Więc starsi śmieli się z niego, że jest mały i że pewno nawet nie mógł dostać do kredensu, ani do klamki. Było mu strasznie niedobrze, bo ciągle mu nie pozwalali jak co było przyjemne a kazali robić to, co było nieprzyjemne. I nawet konia to mu dali najgorszego.

I w tej chwili Wuś wie, że to właściwie o nim jest ta bajka, że to jest najważniejsza bajka na świecie. Słucha więc bez oddechu, bo chce się dowiedzieć co na to zrobił Sobieradek, żeby zostać królewiczem.

...A Sobieradek, chociaż najmniejszy z braci zawsze umiał poradzić sobie w kłopocie i nigdy rąk nie opuszczał. Dlatego to ojciec nazwał go Sobieradkiem i tak już zostało...

Najgorzej, że nie można tak prędko rosnąć jak Sobieradek i roztrzaskiwać o kolano żelaznej buławy!

A Sobieradek zwycięża wszystkie przeszkody i wychodzi cało z każdego niebezpieczeństwa. Zwyciężył Babę-Jagę, zabił bazyliszka, uwolnił

królewnę, zdobył gęśliki samograjki i co najważniejsze — Miecz-Samosiecz.

Tym mieczem zwycięża Sobieradek świat cały i zostaje wielkim królem. Ach, gdyby taki miecz zdobyć!

Marynia czyta uważnie, dokładnie, a Wuś i pan Franciszek słuchają. Pan Franciszek od czasu do czasu uśmiecha się, albo pokręci głową i mruknie:

— To ci zuch!

I to jest bardzo przyjemne, że pan Franciszek, choć przecie taki duży, a tak zna się na bajkach.

Wuś też odzywa się czasem: kiedy chce się o coś zapytać. Wtedy Marynia pokazuje sobie palcem gdzie skończyła i trzyma tak przez cały czas rozmowy.

Wuś pyta się czy naprawdę jest taka woda ożywiająca i czy kruk może mówić. Nikt się tu z niego nie śmieje i wszyscy rozmawiają poważnie.

Marynia mówi, że musi być taka woda ożywiająca, bo jak pan umierał, to mu dawali do wąchania i zaraz odżywał. A pan Franciszek mówi, że jak żołnierzowi trzeba odciąć nogę, albo rękę, to go usypiają, że jest jak nieżywy, a potem znowu żyje.

Co zaś do kruka, to skoro może mówić sroka i szpak, to może i kruk. A pan Franciszek jak służył w Woronezu, to widział u gienerała zielonego ptaka, który strasznie wymyślał wszystkich.

Po takiem rozstrzygnięciu czyta się dalej.

Wuś coraz bardziej kocha Sobieradka. Czy za to, że był najmniejszy i ciągle był sam, czy za to, że latał w powietrzu i wszystko mu się udawało, choć z początku nie chciało się udać— trudno powiedzieć. Może i dlatego, że w kuchni jest tak bardzo ciepło i miło i wszystkie słowa tak głęboko wpadają?... Marzy sobie Wuś podobne przygody, przypuściwszy jakiś nieodzowny a nieznany warunek.

— Jabym wtedy jechał na Siwku, a potem bym wziął Miecz-Samosiecz... a potem...

Skończyła się bajka. Sobieradek został królem, a „ja tam byłem, miód i wino piłem..."

Wuś siedzi dalej bez ruchu i widzi wszystko tak, jakby Marynia czytała jeszcze. Potem wzdycha trochę i rozgląda się po kuchni.

Pan Franciszek wstaje powoli.

— A ja coś Wusiowi przyniosłem — mówi z dziwnym uśmiechm.

Więc Wuś zeskakuje natychmiast z łóżka, i niecierpliwie drepcze koło pana Franciszka, który rozwija z gazet jakiś długi przedmiot.

— Strzelba? pyta cicho Wuś. Ale pan Franciszek kręci głową. Rozwija... Boże:... Słów wszystkich zabrakło Wusiowi... Miecz-Samosiecz! Sobieradkowy miecz! Szeroki, dwusieczny, srebrny, a główkę ma w czerwone i złote pasy i pachnie prześlicznie farbą!

Wuś boi się pytać, boi oddychać, żeby to wszystko się nie odstało, żeby nie okazało się,

że to tylko do obejrzenia, albo na tymczasem, a nie na zawsze.

— A pan Franciszek uśmiecha się i mówi:

— Z dębowej listwy. Można i grube badyle ściąć. Mocny — i oddaje go do własnych rąk Wusia.

Mocny! Oczywiście, że mocny. Potężny, czarodziejski!

Wuś przyciska go mocno do siebie i pątrzy nieruchomo na pana Franciszka, ale nie może nic powiedzieć. Wreszcie chwyta go za rękę i chce go pocałować, ale pan Franciszek nie daje, tylko całuje go kłójącą twarzą i podaje mu dużą, twardą rękę. Wuś podaje mu swoją i czuje całą ważność tego dorosłego uścisku.

Pan Franciszek śmieje się:

— No, teraz będziesz zuch, jak ten... Sobieradek.

Ale Wuś jest poważny:

— Tak, ja będę Sobieradek! — mówi.

Marynia ma załzawione oczy i mówi cicho do pana Franciszka:

— Dobre jest dziecko, tyle że chowa się cudacznie, jak ten kanarek.

Pan Franciszek bierze Wusia na barana i galopuje z nim po kuchni, a Wuś macha mieczem i woła.

— Ja jadę na siwku-złotogrzywku!

I śmieje się Wuś głośno, silnie.

Naraz — dzwonek!

Pan Franciszek prędko zsadza Wusia z sie-

bie i Wuś wie, że zeszedł z Siwka-Złotogrzywka. Przypomniał mu się ten całkiem inny świat: Mama, panna Leonja.., był niegrzeczny...

— Pani przyszła!

Wuś prędko biegnie do sypialni, żeby schować swój czarodziejski Miecz-Samosiecz za piecem pod stare gazety.

Od jakiegoś czasu naprawiło się już z panną Leonją, tylko więcej zadaje.

I dziś ma Wuś dużo przepisywania, opowiadanie swojemi słowami, ćwiczenie z krzyżykami i wiersz.

Siedzi Wuś na swojej ławeczce i powtarza uparcie głupi wiersz:

Jutro, ach Jutro, ja wszystko zrobię.
A dzisiaj jeszcze odpocznę sobie...

i wbrew tym słowom uczy się, uczy zawzięcie. Bo Wuś uczy się na złość pannie Leonji i sobie i mamie. Mówił przecież pannie Leonji, że nie będzie żadnym pisarzem, tylko stolarzem, albo... albo on już wie czem, a ona umyślnie tyle mu zadała. Tak? — dobrze, dobrze! Będzie cały dzień siedział nad książką. Niech go oczy zabolą i głowa, niech mama zobaczy, że źle wygląda i że nie ma apetytu. Tak, tak, nie będzie jadł nawet obiadu (zresztą i tak dziś piątek). Oczy trzyma Wuś tak blisko książki, aż mu się litery mięszają i oczy zachodzą łzami, A głowa to go już trochę boli...

„Jutro, ach jutro...

Że też mama nie przyjdzie teraz! Nie opłaci się nawet być nieszczęśliwym, bo nikt się nie umie poznać.

„Jutro, ach jutro...

Mama wchodzi i pyta się:

— Dopiero teraz przed samą lekcją wziąłeś się do nauki?.

— Ja się uczę od samego rana i wczoraj jeszcze się uczyłem — mówi ponuro Wuś i dla pewności dodaje — może Marynia powiedzieć...

Mama podchodzi bliżej i mówi:

— Czy panna Leonja tak dużo ci zadała?

Wuś mówi z tragicznym spokojem:

— Przepisywanie „U kominka", opowiadanie swojemi słowami „Nasza szkapa", ćwiczenie z krzyżykami i „Jutro ja wszystko zrobię".

Mama mówi bardzo dobrym i przestraszonym głosem:

— Biedny mój Wusik! To ty zmęczony jesteś biedaku?

Wusiowi robi się bardzo żal siebie i mówi żałośnie:

— Tylko mnie głowa strasznie boli, i tylko oczy mnie pieką.. apetytu nie mam i obiadu też nie będę jeść.

Mama patrzy na niego uważnie i mówi:

Mój Boże, jeszcze gotów się rozchorować... Może się położysz, dziecinko?

Wuś nie okazuje za prędko swej chęci:

— Ale... lekcja...

— Nie będziesz miał lekcji! — mówi stanowczo mama.

Wobec tego możeby się i położyć... Wuś idzie za mamą zmęczonym krokiem i skarży się:

— Tak mnie tu łupie...

I zdaje się, że naprawdę już łupie...

Wuś pozwala się sennie rozbierać i otulać kołderką. W pokoju zapuszcza się roletę i robi się ni to noc, ni to dzień. Niebardzo nawet chce się leżeć, ale przyjemnie jest być chorym. Dostaje się wtedy pomarańcze i herbatniki i nikt nie krzyczy.

Na obiad dostał Wuś słodkie sago i kotleciki z bułką tak, jak Wuś lubi, a po obiedzie mama siadła na łóżku i spytała się Wusia na co ma ochotę. Wuś namyślał się przez chwilę czy chory chłopiec może mieć ochotę pobawić się mieczem, ale pomyślał sobie, że lepiej będzie, jak miecz będzie leżał za piecem.

— A może ci co przeczytać, Wusiu?

— Tak! proszę! — ucieszył się Wuś i chciał poprosić o

„Sobieradka", ale Wuś nie poprosił.

— Coś z „Równianki" prawda? — mówi Mama.

Wuś wie, że Mama lubi „Równiankę"; więc zgadza się z westchnieniem, Mama zaczyna czytać, ale jakoś słowa płyną za prędko, za łatwo, bez znaczenia. A jak się Wuś spytał dlaczego to nieładnie, że Ludwiś się o wszystko pytał, to

Mama powiedziała tylko: „bo nie trzeba nudzić“, Wcale nie jest ciekawe takie czytanie.

Mama zobaczyła widać. że Wuś nie słucha, bo spytała czyby Wuś nie spał. Oj, to też jest nudne. Nawet już nie wiadomo co lepiej: czy słuchać „Równianki“, czy udawać spanie.

— Jabym się czemś pobawił mówi wreszcie.

— Dobrze, dziecinko, a co ci dać? Stajenkę, pieska, samochód?...

Wuś namyśla się: właściwie to już nie ma ochoty się bawić. Jeszcze jedno coby go mogło zabawić to ta strzelba z kolorowym celem...

A Mama się pyta:

— A może Wuś chciałby, żeby Mama kupiła jaką zabawkę? Więc Wuś zarzuca Mamie ręce na szyje i szepcze w samo ucho gorącym szeptem, że to jest taka z kolorowym celem i z cyframi na celu i ma bronzową kolbę, jest prawdziwa i to pewno naprawdę można z niej strzelać.

Po wyjściu Mamy, Wuś zaczyna marzyć i rozmyślać. Przedewszystkiem ma do rozstrzygnięcia ważną sprawę: czy królewicze mieli strzelby. I myśli, że chyba nie. To go trochę zmartwiło ale przypomniał sobie, że pan Franciszek jak służył w wojsku, w Woroneżu to miał prawdziwą strzelbę, więc to byłoby w porządku.

Ale teraz druga sprawa: czy można z niej co zabić? Naprzykład bazyliszka, albo Kościeja, albo... albo wronę. Jakby można to Wuś byłby bohaterem i poszedłby na podwórze i zastrzeliłby

tego Walka w żółtej czapce i dowodziłby wszystkiemi. Albo nawet nie zabiłby go, tylko tak. trochę postrzelił, żeby musiał się też słuchać.

Coby jeszcze można było z taką strzelbą zrobić? Możnaby zabić słonia, albo tego niedźwiedzia z „Równianki", co maszerował z dziećmi...

Wróciła Mama i przyniosła strzelbę, ale cóż?... Przedewszystkiem Wuś widział na wystawie bronzową kolbę, a ta jest żółta, a po drugie strzała ma na końcu taki gumowy łebek i wcale nie przebija, tylko się przylepia i to trzeba poślinić

— No, Wusiu, co się mówi?

— Bardzo Mamusi dziękuję! mówi prędko Wuś i pyta zaraz.

A czy z niej można co zabić?

Mama głaszcze go po głowie i mówi:

— A pocóżbyś chciał zabijać? Pomyśl tylko: fruwa sobie ptaszek, fruwa, a tybyś go zabił i ptaszek leży nieżywy, smutny...

— Ale niedźwiedź nie fruwa! tryumfuje Wuś i dla pewności pyta. — A takiego ptaszka to można z niej zastrzelić?

— Ach, Wusiu! — mówi Mama, przyrzeknij mi, że ty nie będziesz o tem myślał. Jak zabijać stworzonka, to Bozia bardzo się gniewa. I mama chciałaby, żeby Wuś był dobry, żeby miał kochające serduszko...

— No, to do celu spróbuję — wzdycha Wuś, bo już jest pewien, że nic z niej nie można zabić.

Raz się przylepiło, raz nie, a potem odleciała taka skówka od strzały i Mama nie mogła

założyć. Jutro mama pójdzie do sklepu i spyta się jak to zrobić, ale dziś już strzelać nie można.

Wuś nawet nie bardzo żałuje, zresztą Mama przyniosła pomarańczę i czekoladę.

Jeszcze jeden dzień Wuś leżał, ale potem bardzo mu się nudziło i wyzdrowiał i znowu zaczęły się lekcje z panną Leonją, Wusiowi zdawało się, że panna Leonja stawia mu na głowie bardzo prędko taką piramidę z kart, ale te pierwsze karty trochę źle stoją i zaraz wszystko się przewróci. A Wuś nie może się poruszyć, bo wszystko będzie na niego.

Panna Leonja stawia coraz to nowe, nieznane karty i buduje prędziutko, prędziutko, a Wuś musi uważać i strasznie pamiętać o tem, że ma to wszystko na głowie, bo inaczej wszystko upadnie, a on będzie niegrzeczny.

Dni biegły szybko, albo wlokły się leniwie do wieczora, a potem nagle skakały w tył i były tak malutkie, że się ich prawie nie pamiętało, Ktoby naprzykład uwierzył, że była już Gwiazdka? Była, przeszła i nawet mało co z niej zostało. Choinka pachniała ślicznie i było na niej błyszczące sreberko, ale wszystko psuł doktór Straus, który był zupełnie niepotrzebny i mówił przez nos. Była też nie wiadomo po co panna Leonja, i Wuś wcale nie potrzebował tego dziwaczka, z drzewa, co od niej dostał, ani książki z samemi trawami, którą mu dał doktór Straus. Od mamy dostał dużą latającą muchę i łamigłówkę. Łamigłówka przydała się bardze na mur do baszty,

a mucha niedługo się zepsuła i nawet bardzo uderzyła Wusia po palcach.

O te zabawki to nawet mama pokłóciła się z panną Leonją, bo panna Leonja na muchę powiedziała, że to jest niemiecka mucha i że najlepiej się można bawić jak się taką muchę zepsuje, a mama powiedziała na dziwaczka od panny Leonji, że od tego gust się psuje i niewiadomo o co w nim chodzi. Ale potem wszyscy udawali jakby nigdy nic, jak to zawsze starsi.

Doktór Straus powiedział, żeby Wuś się uczył, i nie martwił Mamy i poklepał go po twarzy, choć Wuś tego nie lubi.

Potem przyszli do kuchni z szopką i Wuś zobaczył, że tam był Walek i ci inni, ale Mama nie pozwoliła iść do kuchni. Takiemu Walkowi to dobrze, może sobie chodzić z szopką i już. A Marynia nawet mówiła, że on sam tę szopkę zmajstrował.

Teraz już dawno nie padał śnieg, a nawet wczoraj był deszcz, na podwórku jest całkiem szarno i wcale się nie zdaje, żeby był kiedy śnieg i sanki i choinka.

Mama wyszła z domu i jest dzisiaj panna Leonja. Panna Leonja wymyśla różne zabawy, ale wcale nie umie się bawić, tylko udaje, że niby to się strasznie jej coś podoba, a myśli, że nikt się na tem nie pozna.

A Wuś na złość nie ma dziś na nic ochoty, nawet na to, na co... ma ochotę. Stoi koło okna ze znudzoną miną i myśli, że panna Leonja mo-

głaby się położyć po obiedzie, jak Mama, to przynajmniej Wuś miałby spokój.

Nagle... co to? Ależ naturalnie: na podwórzu wojna! O, Walek w żółtej czapce i ci inni, nawet i ta dziewczyna!..

Wuś odwraca się od okna i mówi grzecznie do panny Leonji:

— Niech się pani położy na otomance. Ja będę się tu bawił w... łamigłówkę.

Panna Leonja ma widoczną ochotę położyć się, ale mówi jeszcze:

— A będziesz grzeczny?

— Będę, będę! — kiwa Wuś niecierpliwie głową i myśli tylko o tem, że panna Leonja marudzi, a tam się dzieją różne ważne rzeczy. No, wreszcie!.. Wuś biegnie do ceratowego fotela i staje na nim nogami. Słońce wyjrzało trochę i na podwórku zrobiło się odrazu bardzo przyjemnie i jasno. Zupełnie nie tak, jak tu w pokoju, gdzie pachnie jakoś dusząco i jest o wiele ciemniej.

Na podwórzu naturalnie wojna. Ale dziś nie biją się śniegiem, tylko mają kije i deski przywiązane do lewej ręki. Biją się kijami po tych deskach i spychają z górki usypanej koło śmietnika. To oczywiście jest forteca. Wartoby otworzyć lufcik, bo szyby są zapocone i wszystko widać jak przez mgłę, ale... Mama nie pozwala. Wuś chwilę namyśla się, waha, wyciąga rękę i cofa ją, aż wreszcie... szybkim, buntowniczym ruchem otwiera lufcik.

Kto się wybiera na walkę z Kościejem musi być Sobieradkiem!

I zdaje się Wusiowi, że to właśnie tutaj więził go Kościej, że w tych ścianach go zamknął i dechem trującym chuchał na niego, żeby w tem kościanem zaklęciu udusił się całkiem. I wie Wuś, że to nie lufcik otworzył teraz, ale bramę lodowego pałacu Czarodzieja-Kościeja. Dlatego jest taki dumny i zadowolony. Otworzył sobie dostęp do słońca, do rzeźkiego wiatru, do życia i ruchu. Biegnie teraz do pieca i z pod stosu gazet wyciąga swój czarodziejski Miecz-Samosiecz. Oczyszcza go z kurzu i próbuje nim machać.

— Z dębowej listwy! — przypomina sobie słowa pana Franciszka i śmiało staje w lufciku. Widzi teraz całą wojnę, słyszy krzyki chłopców i trzaskanie szabel o tarcze.

Patrzy Wuś ciekawie, chciwie i nowa myśl przychodzi mu do głowy. Czuje sam, że to myśl ogromnie śmiała, że może mieć bardzo nieprzyjemne skutki, ale już coś obróciło się w nim i korci go i popycha:

— Zejść na podwórze!

Prawda, że mama zakazała zadawać się, ale... Niechby tylko zobaczyli jego srebrny Miecz-Samosiecz.

A tam wojna wre. Walek wszystkich spycha z górki i wymachując swym kijem, aż wreszcie zostaje sam na górce i krzyczy:

— Wiwat! ja jezdem król!

Tu Wuś nie może już wytrzymać: jakto ten

Walek ma być królem? A cóż Wuś-Sobieradek który ma srebrny miecz?

— Musi zejść koniecznie tam, na dół. Niech zobaczą kto jest prawdziwym królewiczem. Obejrzał się Wuś na pokój, wyjrzał na podwórze i zwrócił się ku wyjściu. Wydostał się przez drzwi kuchenne i mocno ściskając miecz, ruszył na swą pierwszą rycerską wyprawę.

— — — — — — — — — — — —

Atak.

Koalicja, złożona z Franka, Józka, Władka i Wikty napada razem na zwycięskiego Walka. Podbiegli do górki, ale nie próbują się na nią wdzierać wobec warczącego kija: Walek jest taki że jak co do czego, to naprawdę pierze.

Wreszcie i Walek się zmęczył, proponuje więc pokój:

— No, już nie będziemy się bili, dobra? — i schodzi z górki.

Takie zakończenie wszyscy uznają za honorowe dla siebie. Zbierają się w gromadkę i radzą „w co teraz?"

Walek rozgląda się po podwórzu, szuka jakiegoś punktu zaczepienia dla nowego pomysłu. Niedarmo jest tu wodzem.

— Te, Walek — mówi któryś — Patrz, wyszedł ten z pierwszego piętra.

Ale Walek już sam go dojrzał; dojrzał nawet jego wspaniały malowany miecz. Błyskawicznie obmyśla czy lepiej będzie wyrwać mu go odrazu i uciekać, czy wziąć go do zabawy.

Podchodzi powoli do „tego z pierwszego piętra".

A Wusia opuścił już zapał, z którym zbiegł po schodach, wobec tych pewnych siebie chłopaków. Zbliska wyglądają jakoś całkiem inaczej, niż z lufcika: są więksi, prawdziwsi i groźniejsi. Zwłaszcza Walek jest imponujący, a nawet jego czapka i łata na kolanie. Wusiowi się zdaje, że gdyby on miał tak zawadyjacko zsuniętą czapkę i takie pomięte ubranie, to zaraz byłby silniejszy. Ale w swojem ładnem ubranku, którego nie można zawalać...

Walek staje tuż przed nim i pyta lekceważąco, wskazując na miecz:

— To twój?

Wuś chce mu coś odpowiedzieć, ale słowa więzną mu w gardle i zresztą nie wie jak ma się do tych obcych chłopaków odezwać: „proszę pana" czy jak?

A Walek zbliża się jeszcze bardziej:

— Daj się pobawić! — wyciąga rękę.

Alę Wuś instynktownie ściska miecz i cofa się.

— Te, daj mu spokój—mówi któryś za Walkiem — Rozbeczy się i naskarży!...

— Niech poprobuje tylko — mówi groźnie Walek.

Wuś jest obrażony tem lekceważeniem: wcale nie myśli skarżyć, żeby tam nie wiem co! I chce to właśnie im wytłomaczyć, ale Walek jest już zły, uważa, że zadługo z tym paniczkiem się „patyczkuje".

— No, dawaj... te! — i łapie za miecz.

Reszta chłopaków patrzy z podziwem, ale woli nie mieszać się w awanturę z „tym z pierwszego piętra".

Wuś ścisnął ręką za rękojeść aż do bólu i zaciął zęby: żeby tam nie wiem co..

Walek szarpnął, ale—nie wyrwał. Teraz już, jest naprawdę zły, bo jego honor jest na szwank narażony.

— Ty, szczeniaku! — zasyczał przez żółte zęby i zamachnąwszy się, wyrżnął kułakiem.

Zaszumiało Wusiowi w głowie, zatoczył się w tył, ucho zapiekło jak ogień i wszystko zasnuło się mgłą.

Drugie uderzenie odezwało się słonym smakiem w ustach i silnym rzutem w tył: Wuś oparł się aż o ścianę.

I nie wie Wuś w tej strasznej sekundzie co ma zrobić: czy płakać, czy wołać, czy uciekać... Wokoło tylko obcy, wrodzy ludzie, a Wuś sam, sam zupełnie i tylko miecz... A, prawda!

Wuś machnął na oślep i naraz uradowany, że znalazł wyjście, zaczął machać całą siłą rozpaczy, aż wreszcie trafił w coś i wywołał okrzyk bólu.

Zdziwiony Walek cofnął się, trzymając się za twarz i w tejże chwili usłyszał Wuś znany i kochany głos:

— Co to, Wusiu? Ach, wy rozbójnicy! Marcinie, Marcinie! O Boże!

Wuś wpada w miękkie pachnące objęcia

i czuje, że Mama niesie go po schodach, mówiąc prędko:

— Wusiu, dziecinko... Jakim sposobem... Czemu wyszedłeś z domu...

Skąd masz to drewno...?

— — — — — — — — — — — —

Właściwie tu już nic Wusia nie boli, ale ponieważ ma głowę obwiązaną, więc jeszcze popłakuje czasem.

Zresztą czuje, że kiedy już będzie zdrów, zacznie się wypytywanie i kto wie czy nie co gorszego...

— Żeby tylko miecza nie zabrali!

Wuś wstaje cicho z łóżka i uklepuje lepiej gazety za piecem, potem znów się kładzie.

I jeszcze jedno zmartwienie ma Wuś:

— Czy to się liczy, że on naskarżył czy nie? I czy to bardzo wstyd, że on płakał? Przecież machał także mieczem... Jedyna pociecha w tem, że panna Leonja dostała przynajmniej burę.

W domu cicho: Mama pewno chora „z tego wszystkiego" i nic się nie można dowiedzieć. Aha! Marynia jest w jadalnym.

— Maryniu! — woła Wuś nie zanadto zdrowym głosem.

Marynia uchyla drzwi:

— Podać co Wusiowi?

— Tak—chociaż nie! Ja się tylko chciałem zapytać...

— Oj, narobił Wuś, narobił!—mówi Marynia— Pani tak się zdenerwowała, aż doktór Straus przy-

chodził. A teraz znów będzie na mnie za tę szablę!

— Ja nie powiem! — uroczyście zaklina się Wuś, podnosząc się na łóżku — Ja powiem, że znalazłem i zresztą ja już schowałem, a Marynia niech powie, że spaliła...

— No, dobrze — mówi trochę łagodniej Marynia — ale Wuś napewno nie powie?

— Jak Mamę kocham!... Ale co było z panną Leonją?

— Phy!—parska Marynia—Tak się rozgdakała jak ten indor i tak samo czerwona była, aż sina!

— I... i co?

— A no, zapłaciła jej pani i wydaliła z obowiązku. Nie będzie się już Wuś u niej uczył.

— Doskonale! A... a co Mama?

— O, Pani się strasznie gniewała na Wusia.

— I... i co? Mówiła Mama, że nie będę mógł na spacer wychodzić? czy może obiad osobno?...

— Pani powiedziała, że przyjdzie pan Straus to się postanowi, bo pani nie ma na to zdrowia.

Masz tobie: Najgorsze co mogło być. Jak Wuś nienawidzi jego rzadkich, przylizanych włosów i tego: „sza-owna pani", „sza-ownej pani".

— Ja mu nie będę odpowiadać!—postanawia naraz Wuś, ale Marynia kręci głową i mówi:

— Nie radzę Wusiowi. Bo coś mi się tak widzi, że Wuś go się jeszcze będzie musiał słuchać...—i uśmiecha się dziwnie.

Wuś myśli, że Marynia jest głupia i nie warto

z nią o tem wcale mówić. Pyta więc o inną sprawę która mu ciąży:

— A co te... te chłopaki?

— A no, posyłała pani Marcina do ojca tego Walka z drugiego podwórza, a ten powiada, że go Wuś tak pałką zdzielił, że mu aż guz wyskoczył.

Więc jednak: Znaczy, że to była równa wojna i że niema się czego wstydzić. To jest ważniejsze niż wszystkie inne przykrości. Tylko dlaczego ta Marynia mówi „pałką"?

— Nie żadną pałką, tylko mieczem—tłumaczy Wuś Maryni.

W salonie słychać jakieś głosy i zdaje się...

— To pan Straus—mówi cicho Marynia.

— Nic mu nie odpowiem! — powtarza Wuś i po chwili postanowienia—Ubiorę się.

W ubraniu jest się o wiele pewniejszym i mocniejszym, ubiera się więc Wuś prędko, choć guziki są zawsze większe od dziurek. I opaski na głowie nie trzeba! Zrywa ją Wuś i rzuca na łóżko.

— Niech mi pani wierzy, że poradzimy sobie... — mówi doktór Straus już w jadalnym i otwiera drzwi,

—...więc natychmiast pójdziesz i przeprosisz mateczkę!—syczy w końcu długiej mowy doktór Straus.

— Nie mam za co, bo jak mnie zaczepiali...

— Pójdziesz czy nie?...

— Nie pójdę i... i niech się pan nie wtrąca

jak szara gęś!—wybuchnął Wuś — Mamie wolno, a pan...

Naraz we drzwiach staje mama, a z jej ust wyrywają się jakieś chrapowate, drapiące słowa:

— Jak śmiesz! Jak śmiesz! Do pana doktora... W tej chwili... W tej chwili przeproś... W rękę pocałuj!

Wusiowi drgnęło coś w piersiach, jakby zimna ręka ścisnęła się w bolący, kłujący kułak. W rękę? Tego... Tego? Za nic na świecie!

— Niech się sza-owna pani nie denerwuje!— mówi doktór Straus i wyprowadza mamę pod rękę—kiedy nie kocha mateczki niech zostanie sam w pokoju.

Wyszli i—klucz się przekręcił.

Dziwnie jest teraz: właściwie nawet płakać niema czego, bo się postawiło na swojem, ale jakoś nieprzyjemnie... Gdyby mama się teraz wróciła, to Wuś przeprosiłby ją... A nawet—tego obrzydliwego doktora. Ale nikt nie wraca.

Do wieczora czekał jeszcze Wuś, zrywając się na każdy odgłos kroków, ale wieczorem już wiedział, że nikogo nigdy nie będzie przepraszał.

Przez następne dni mama była obca i daleka i nawet nie całowała na dobranoc. Wisiała jeszcze w powietrzu cała „historja" i coś się szykowało dziwnego, bo nawet nie było wcale lekcji.

Któregoś z tych nieprzyjemnych dni, po południu zadzwonił dzwonek w przedpokoju.

Mama powiedziała:

— Zobacz kto tam.

Przechodzenie przez trzy ciemne pokoje nie jest zbyt przyjemnem. Także wpuszczanie kogoś kto mówi tylko dzwonkiem, a pozatem ma niemą twarz wchodowych drzwi wymaga pewnej odwagi. Ale kto zwyciężył takiego Walka, nie może się niczego bać.

— Kto tam?—pyta Wuś największym basem, na jaki się może zdobyć.

— No otwierać tam! Otwierać! — huczy za drzwiami prawdziwy bas. I natychmiast po otworzeniu całe drzwi wchodowe zapełniły się szczelnie wielką szubą, z której wyszamotał się gruby pan.

— No, cóż się tak patrzysz, smyku jeden, pan brodzieju?—mówi do Wusia gruby pan—Przecież tutaj mieszka pani Brzezińska, co?

— Tak.

— A ty, to pewnie jesteś ten gagatek Zbyszek, pan brodzieju, co? -Wuś zupełnie nie rozumie co to znaczy to „pan brodzieju" i „gagatek", ale mówi:

— Ja jestem Wuś.

— Wuś Wuś!—mruczy gruby pan, odwijając szalik z szyi—Poprzekręcali, pan brodzieju, chrześcijańskie imiona, że sam djabeł teraz nie rozpozna. Zbigniew masz na chrzcie świętym, to możesz być najwyżej Zbyszek, pan brodzieju, a nie jakiś tam Wuś, co?

Szuba i głos wypełniły całe mieszkanie, zrobił się ruch, w salonie zapaliło się światło, przybiegła Marynia, a w chwilę potem Mama zawołała:

— Jak się masz, Władziu!

Okazało się, że gruby pan jest poprostu wujem. To było bardzo dziwne.

— Przyjechałem — huczał wuj — w sprawie tego gagatka. Zaraz jak tylko dostałem twój list,. Już my go tam na wsi...

Ach, więc to tak? I Wusiowi nic nie powiedzieli!... Więc to tak? Dobrze!

Zbudziwszy się, zauważył Wuś, że łóżeczko się chwieje, kiwa i stuka. Otwarte oczy nie napotkały na ścianie znanej twarzy potworka z otwartemi ustami, ani nastroszonego kota na piecu.

Dokoła był obcy pokój bardzo czarny i ciemny i cały chwiał się i trząsł.

Z trudem dopiero zapuchłe od płaczu oczy zobaczyły to, co się stało: pakowanie wusiowych rzeczy do koszyka (chwała Bogu, że przynajmniej miecz i Bajarza udało się wsunąć cichaczem!)... Potem dworzec... tłum oszalałych, strasznych ludzi... twarz mamy migająca od czasu do czasu... bas wuja... wagon... chusteczka mamy i... i nic, ciemność, niepamięć.

Tak bardzo trudno ułożyć to wszystko według znanych myśli, że ostatecznie nie chce sie próbować. Tyle naraz rzeczy popłynęło przed oczami, że aż skłębiły się z rozpędu i migają prędko — prędko, coraz to inne.

Lepiej pomyśleć o tem, co czeka teraz, a więc: wieś i wuj. Wieś nie jest taka znów ciekawa: jest to podwórze z kilkoma różnemi dom-

kami a na niem chodzi bardzo dużo zwierząt. Jest nawet bocian i kot, a gospodyni robi masło w takiem drewnianem wiaderku.

To wszystko. Nawet chłopaków niema, tylko trochę małych dzieci

Co zaś do wuja... to musi to być straszny człowiek. Tymczasem tylko krzyczy, ale widać po nim, że jest gotów na najstraszniejsze rzeczy. Jest ciągle czerwony, a wąsy i oczy wyłażą mu z twarzy, naprzód.

Ach, prawda, że on tu był na drugiej kanapie!... Teraz jednak widać tylko jedną bryłę, przykrytą pledem. Masa dygocze, jakby się miała zaraz rozlać, porusza się czasem cała i świszcze.

Jak to dobrze, że wuj może być śmieszny. Odrazu jest przyjemniej. O i teraz!

Z pod pledu podnosi się raptownie twarz z nastroszonemi i pokręconemi włosami i deseniem na prawym policzku. To jest wspaniałe!

Wuj ziewnął i zaraz zaczął huczeć, ale teraz nie było to już takie straszne. Wuś umył się w umywalni, ale się popryskał, bo kran był bardzo niewygodny, więc chodził potem po korytarzu, żeby obeschnąć. Zresztą była tam przyjemniej niż w przedziale. Naprzykład jak patrzeć na szyny to one biegną bardzo prędko, a jak spojrzeć na deskę, co leży pod nogami, to się zatrzymują. Albo jak patrzeć naprzód, to słup telegraficzny czeka, aż się zbliży okno, a potem przeskakuje koło okna i ucieka prędko w tył.

Ale wuj wyjrzał na korytarz i zawołał:

— No, zbieraj się panbrodzieju! Dojeżdżamy, co?

Dorośli wiedzą różne rzeczy, ale zupełnie nie wiadomo jakim sposobem. Zresztą jak się urośnie, to też się będzie wiedziało, że się dojeżdża, albo że już późno, albo, że są imieniny.

Pociąg stanął i Wuś wyszedł z wujem na stację, a jak wyszli na drugą stronę stacji, to było trochę inaczej i stały różne wozy i dorożki.

Wuj krzyknął strasznie głośno:

— Andrzej! Podawaj!

Zaraz zaturkotały po bruku koła i podjechała żółta dorożka, zaprzęgnięta w dwa szare konie. Dorożkarz zdjął czapkę, a potem powiedział do Wusia:

— Dzieńdobry, paniczowi.

— Dzieńdobry — powiedział prędko Wuś i spojrzał na dorożkarza. Był bardzo przyjemny, bo przypominał coś znanego, do czego się już przyzwyczaił. Może był nawet podobny do Marysi i pana Franciszka i pachniał przyjemnie, jak świeży chleb.

Wuś okręcił sobie nogi derką, jak wuj i konie zaraz skoczyły z miejsca. Zakręciły dokoła sztachet, że aż tył dorożki mało nie odleciał, a potem poszły równo i parskały. Za każdem prychnięciem ten dorożkarz mówił:

— Zdrów! zdrów!

Ale niebardzo bezpiecznie było pytać po co się tak robi, bo wuj siedział i nic nie mówił, pewno był zły.

Jechali teraz przez bardzo duży ogród, ale nie było tam ładnie: drogi były szerokie, nierówne i niewysypane piaskiem, drzew było mało, i trawników prawie wcale. Nie było też ławek i nikt nie spacerował, ani nie było stróżów. Może dlatego, że jeszcze było wcześnie.

Naraz odezwał się wuj:

— Podoba ci się wieś, pau brodzieju, co?

— Wieś? — zdziwił się Wuś i obejrzał się, ale nigdzie wsi nie było.

— No, cóż się dziwisz, pan brodzieju co?

— Bo... bo gdzie ta wieś?

— Gdzie, gdzie? przecież jesteś na wsi!

— A gdzie są domy i... i zwierzęta?

— Jak przyjedziemy do domu, to zobaczysz i zwierzęta, a tu są pola.

A dorożkasz powiedział półgłosem:

We dworze zobaczy panicz i konie i krowy i świniaki... A i domów zobaczy panicz sporo, bo wieś je duża...

— To znaczy... że to nie jest wieś? — triumfował Wuś. Ale wuj się rozłościł:

— No, a coż to jest, pan brodzieju, co? Krakowskie Przedmieście, czy Nalewki, pan brodzieju?

Naturalnie, że nie Krakowskie Przedmieście, bo tam jest o wiele więcej ciekawych rzeczy, naprzykład sklepy... Ale dlaczego wuj mówi, że to wieś, a dorożkarz, że wieś się dopiero zobaczy? I czem się różni Warszawa od wsi, jeżeli i tu będzie dużo domów? Zwierzęta? Zwierzęta są i w Warszawie... Chyba, że więcej. Wuś przestał

się pytać i patrzy tylko na konie. Nogi ich migają prędko i ledwie dotykają ziemi, a ziemia prędko wysuwa się im z pod nóg. A na nogach to im się robią takie rowki i znów znikają. Ciekawe skąd one wiedzą gdzie trzeba lecieć i kiedy iść wolno, a kiedy prędko? No, o to można się będzie przynajmniej spytać dorożkarza, ale z tą wsią...

Teraz konie skręcają w stronę wielkiej kępy drzew. To może będzie las? Ale nie, bo widać domy, płoty i dorożka wjeżdża w aleję. Aha, więc to jest wieś!

W tej chwili obraca się dorożkarz i mówi:

— Paniczu, to już dwór.

Nie wieś? To już teraz nic nie wiadomo.

Dorożka wjeżdża w bramę i jedzie dokoła trawnika, a koło dorożki leci duży, włochaty pies i szczeka basem, zupełnie podobnym do wuja. Więc wuj woła na niego:

— Cicho, Nero! — i pies kręci nietylko ogonem, ale całym tyłem. Dorożka staje przed gankiem całym ze szkła, a tam już stoi jakaś pani, ale nie tak ładnie ubrana jak mama, i woła:

— Jak się macie! Władziu przywiozłeś naszego siostrzeńczyka?

— No, siedzi przecie — mówi wuj i wyłazi z dorożki.

Ta pani obejmuje Wusia i całuje, chociaż jest jeszcze całkiem obca, a z boku ktoś go prędko polizał i to był Nero. Wuś się zdziwił, że tu tak wszyscy odrazu lubią człowieka i już wiedział, że

będzie się przyjaźnić z Nerem i tym dorożkarzem. A że wuj już wszedł do środka, więc Wuś odważnie się przedstawia, tak jak mu kazała mama.

— Jestem Zbigniew Brzeziński i mama kazała Ciocię ucałować.

— No, chodź-że tu, mój Zbigniewie — mówi Ciocia i całuje Wusia mocno (za mocno)!

Ale wuj krzyczy ze środka:

— Fela, Zbyszek! Dosyć cackania pan brodzieju, co?

Pierwszy zaraz pokój jest pewno jadalny, ale przecież jadalny powinien być całkiem inny! Kredens powinien być wyższy i bez szklanych okienek, krzesła powinny mieć niższe oparcia, powinna wisieć lampa... Tak, tak, pokój jadalny *naprawdę* jest jest inny.

Potem idzie Wuś z ciocią przez dużą pustą salę i wchodzą do małego białego pokoiku, gdzie za oknem jest grube drzewo. I tu jest całkiem swojo, nie tak, jak w tym ciemnym jadalnym. Tu jest wszystko jak na żarty: zupełnie małe łóżko i szafka i krzesełko.

Ciocia jest zadowolona, że Wusiowi wszystko się podoba i wogóle ciocię też można zaliczyć do Nera i dorożkarza, jako trzecią przyjemną osobę. Dlatego Wuś pyta się jej:

— Czy to drzewo wyrosło tak blizko jak już dom był, czy dom umyślnie zbudowali koło drzewa?

Okazuje się, że lipę (bo to się nazywa lipa)

posadzili koło domu. Potem jeszcze Wuś powiedział cioci, że ta matka Boska jest taka sama, jak w domu i że bardzo mu się podobał dorożkarz. Ale ciocia powiedziała, że Andrzej jest stangret. To nawet jest przyjemniejsze słowo i tak smakuje, jak renglody.

Potem ciocia powiedziała, że ta szafka i wszystkie książeczki są Wusia, bo to mu dał drugi wuj, którego teraz tu niema, bo jest zagranicą. I jak ten wuj był mały, bo to były jego książeczki, a teraz napisał, żeby dać Wusiowi na zawsze.

Wuś odrazu zrozumiał, że powinien się bardzo ucieszyć i powiedział nawet, żeby napisać do tego wuja, że on dziękuje. Zresztą naprawdę szafka mogła się przydać na schowanie Miecza-samosiecza i Bajarza. Co do książeczek, to Wuś się trochę obawiał, że będą same „Równianki".

Wtym innym jadalnym był także inny obiad. Masło było w kulkach, do soli była niebieska, szklana szufelka i potrawy były trochę takie jak wuj, a trochę jak ciocia, tylko chleb był podobny do tego... stangreta Andrzeja. Wuj nic nie mówił tylko sapał tak, jakby spał, a ciocia mówiła po cichu. Potem wuj wytarł usta serwetką i rzucił serwetkę na stół, a ciocia powiedziała, że wuj poszedł przyłożyć się do poduszki, i że teraz trzeba odpakować kosz.

Wuś pobiegł pierwszy i chciał schować miecz, ale nie mógł odwrócić odrazu kłódki, bo się przekręciła i przyszła ciocia. Ale ciocia wcale się nie

gniewała, bo jak wuj Stefan był młody to też strugał sobie takie szabelki. Więc ciocia przyniosła czerwoną tasiemkę i powiesiło się miecz na gwoździku nad łóżkiem. Wuś strasznie podziękował cioci i już nie rozpakowywał, tylko chodził po pokoju i patrzył sobie na miecz.

Potem jeszcze były kluski na mleku i już Wuś poszedł spać.

Łóżeczko było strasznie wysoko posłane, bardzo przyjemnie chrzęściało i pachniało. Prześcieradła były sztywne, i czyste, jak przed świętem.

Potem jeszcze raz przypomniały się przyjemne rzeczy (stangret Andrzej, Nero, powieszenie miecza. ciocia) i wszystko przestało być.

Jeszcze musi być strasznie wcześnie. W domu cicho: pewno wszyscy śpią. Ganek jeszcze zamknięty i bardzo mocno trzeba było odciągać zasuwkę. Ale wreszcie otworzyła się. Nero tknął Wusia mokrym nosem w pończoszkę i wyszli przed dom.

Powietrze jest takie mokre i chłodne, że chodzi się jak w parze, a stawu to wcale nie widać, tylko jakiś biały dym.

Co tu robić?

Nero położył się na stopniach ganku, a Wuś nie wie gdzie mu wolno pójść, a gdzie nie. W ogrodzie Saskim, albo w Łazienkach, to zawsze mama mu mówiła i zresztą wiadomo, że po trawnikach nie wolno chodzić. Ale tutaj niema słupków z drutami i nie wiadomo co wolno robić, a co nie. Ścieżka prowadzi nad staw. A za każdym krokiem widać coraz więcej. Ot, na prawo pojawiły się dwa czarne cienie, i to były drzewa. Teraz widać już wodę, a nawet trzciny na drugim brzegu. Ale za to nie widać już domu.

Zupełnie nie wiadomo gdzie pójść, a przy-

em dziwnie jakoś, że nikt nie pilnuje i nie woła na Wusia.

Możnaby pójść w ten dym i iść daleko (może do Szklanej Góry) i niktby nie wiedział. Ani mamusia, ani Marynia, ani panna Leonja. Trochę przyjemnie, ale też trochę pusto i straszno.

Ciekawa rzecz dlaczego tu jest wszystko, ale to wszystko takie inne niż w domu. Prawda że to jest „na wsi", ale zawsze dziwne...

— Zbyszku! Zbyszku!—głos matowy i jakby zduszony przez mgłę leci od domu.

Wuś pobiegł natychmiast. Ciocia była trochę niespokojna; prędko pocałowała Wusia i powiedziała cichym głosem:

— Gdzież ty chodzisz, Zbyszku? Śniadanie już podane i wuj się gniewa, że nie przychodzisz...

Ale wuj siedział tylko za stołem i sapał tak jak zawsze. Dopiero wstając powiedział:

— Tymczasem możesz jeszcze bąki zbijać, ale nie długo—do nauki, pau brodzieju. U mnie, pau brodzieju, praca i karność, co?

— Jednakże... Władeczku — zaczęła ciocia.

— Jednakże do nauki i koniec — zahuczał wuj, a potem dodał—Uszyj mu ubranie z jakiego drelichu, bo te aksamitne fatałaszki podrze w mig.

Wuś siedzi na stopniach ganku i myśli. Bardzo ważne sprawy ma do rozstrzygnięcia: przedewszystkiem co to będzie za nauka, podrugie co to jest „drelich", a dalej jak to Wuś ma „zbijać bąki" i czy to przyjemnie. Ale cóż kiedy

niema się kogo spytać: wuj poszedł na „gumno" (co to może być?), a ciocia „dysponować" obiad.

Co do nauki to ciocia mówiła, że będzie się Wuś uczył o kwiatach i zwierzętach (to ważne!) i o innych krajach, ogrodach i o gwiazdach... Przytem pan nauczyciel to nie jakaś tam panna Leonja: on wszystko wie i umie i można go się o wszystko zapytać. Oczywiście umie też robić miecze i popędzać konie, jak Andrzej. Ciocia wychodzi na ganek:

— Idź zobacz ogród, Zbyszku.

Wuś idzie do ogrodu, ale właściwie nie podoba mu się tam: gałęzie zupełnie poobdzierane z liści, mokro jest i nawet ławek niema. I zresztą. jakoś tak pusto i straszno, jak w ciemnym pokoju. I Wuś szybko wraca z ogrodu, nie oglądając się za siebie.

Przed dworem rozgląda się jeszcze na prawo i lewo czy niema czego do zobaczenia i wchodzi na ganek.

Powoli wyciera nogi, powoli przechodzi przez pokoje, oglądając je jeszcze raz i wreszcie siada na swojem łóżeczku,

Nudno. Niema zupełnie nic ciekawego na tej wsi.

Potem przyszedł wieczór. Po kolacji trzeba było się zaraz położyć, chociaż się wcale nie chciało się spać.

— — — — — — — — — — — —

Rano zbudziła Wusia ciocia, a po śniadaniu wzięła go ze sobą do kuchni, gdzie był zupełnie

inny piec niż w domu i dwie Marysie. Ale wuj się gniewał, że Wuś był w kuchni i powiedział, że ciocia robi z Wusia papinka.

Siedzi Wuś znowu na ganku a Nero oparł mu mordę na kolanach; to właściwie jedyna pociecha. Dzień pełznie gdzieś obok, a tutaj słychać tylko powolny szelest jego czołgania się. Zawołano Wusia na obiad, a po obiedzie padał deszcz i Wuś patrzył przez okno.

I drugi dzień się skończył i później był piątek, co były śledzie, których Wuś nienawidzi, a wuj kazał mu jeść. (Ale tylko trochę zjadł, a później zaczął płakać i nie jadł).

A dziś to jest sobota i znowu był deszcz,

Właściwie Wuś myślał, że będzie ciekawiej, a to i tutaj do kuchni także nie można chodzić.

— — — — — — — — — — — —

Słońce wdziera się uparcie pod powieki i łaskocze tak, że nie można już zasnąć.

A kiedy akurat Wuś chciał się obrócić na drugi bok, wchodzi ciocia i mówi:

— Wstawaj-że leniuszku! Pojedziesz z nami do kościoła! Głos cioci jest jakiś odświętny, jakby się zmienił razem z sukniami i kaftanikiem. I na dworze także jakoś odświętnie; czysto, słonecznie...

Wuś zrywa się prędziutko, chlapie w wodzie (starając się prychać, tak, jak wuj) i idzie do jadalnego.

Wuj go całuje w głowę, co zresztą jest naturalne, wobec tego uroczystego dnia. Wuj ma

biały kołnierzyk i twarz trochę czerwieńszą niż zwykle.

Po śniadaniu ciocia przygładza Wusiowi włoski szczoteczką i wkłada berecik, a wuj mówi:

— Pobiegnij do Andrzeja i powiedz mu, żeby zakładał.

— A... a gdzie — pyta nieśmiało Wuś.

— Co, gdzie? — mówi wuj bardzo głośno — w stajni, na gumnie!

Nic z tego Wuś nie wie, ale ciocia wyprowadza go na ganek i pokazuje mu furtkę na „gumno".

Aha, ale przedtem zupełnie nie było jej widać. Koło furtki stoi słup, a na nim dzwonek z uwiązanym do niego sznurkiem. (Trzeba się będzie spytać co to takiego). Ale tuż za furtką otworzył się nowy świat. Dużo stodół i jakichś szop, stoją pługi i jeszcze inne narzędzia, co nawet niewiadomo do czego. A tuż koło furtki mały domek (szkoda, że zamknięty!) i koło niego pełno wiórów i klocków, które się mogą doskonale przydać. Odrazu nawet wziął Wuś kilka i schował w pokrzywy między płotem a domkiem. Potem się wyciągnie jakim kijem.

Nagle jakiś znajomy zapach. Aha! tak pachnie Andrzej i jazda bryczką. Właśnie Andrzej stoi w dużych otwartych drzwiach i uśmiecha się.

— Dzień dobry paniczowi!

— Dzień dobry! — mówi Wuś — Czy tu jest stajnia?

— No, a jakże? cugowa—mówi Andrzej i nie wie się czy nie powiedziało się jakiegoś głupstwa. Ale to tak zawsze: nikt nie wytłomaczy, tylko odrazu masz o wszystkiem wiedzieć. Teraz nie wiadomo czy i co mówić dalej. Ale Andrzej sam zaczyna:

— Przyszedł panicz konie zobaczyć?

— Nie... tak. Wuj kazał powiedzieć, żeby „zakładać".

Andrzej odrazu zrozumiał co to znaczy i powiedział spokojnie:

— Dobrze, założy się w try miga — a potem dodał. Ale panicz to musi nie ciekawy do koni?

— Ja? Owszem... ciekawy—mówi Wuś i myśli tylko o tem, żeby nie stracić w oczach Andrzeja. O uznanie takiego człowieka, który umie wszystko z końmi robić — chodzi przecież najbardziej.

— O, panicz Stefan, młodszy brat naszego pana, ten to był ciekaw do koni! — mówi Andrzej — Bywało przyjdzie i powiada: „osiodłajcie powiada — Andrzeju Migdała, bo się chcę —powiada — przewietrzyć. Tak mówił—przewietrzyć. Więc ja dopiero mu tak i tak, że zakazane, ma się rozumieć, że Migdał ponosi i to i owo, a on nic, ino: osiodłajcie i osiodłajcie. Dopiróż wyprowadzali my cicho Migdała na ogród, żeby pan nie widział i stamtąd dopiro... O! to był świarny panicz, ten panicz Stefan!

Bardzo to ciekawe opowiadanie, ale nieprzyjemnie jak tak kogo chwalą, że to wygląda na wykalanie oczu: „widzisz on to i to, a ty co?“

Więc też trzeba powiedzieć Andrzejowi zupełnie stanowczo i głośno:

— Ja bardzo lubię konie i nauczę się dobrze jeździć konno. Niech mi Andrzej pokaże te siwki, cośmy jechali nimi od pociągu.

— A, no stoją se tu i śniadanie jedzą — zaśmiał się Andrzej — niech panicz wejdzie.

Ciemnawe, ciepłe i pełne różnych zapachów wnętrze, objęło Wusia. Widać było konie (dziwnie duże) stojące w przegrodach i poruszające od czasu do czasu ogonami. Zewsząd słychać było odgłos miarowego żucia i ciepły, miły odór uderzał w twarz.

Wuś stał na ceglanym korytarzu widząc z obu stron zady końskie, co było trochę grożne, ale i przyjemne. Inaczej całkiem wyglądały konie w dorożkach na ulicy, niż tutaj, tak blizko.

— A tera weźniemy półszorki z wozowni będziemy zakładać, dobrze?

Oczywiście, że dobrze. Wogóle niema nic przyjemniejszego, niż patrzeć na jakąś potrzebną, ważną i tajemniczą robotę, dlatego tak ciekawie jest być w kuchni. Ale to będzie jeszcze ciekawsze, niż kuchnia.

— A niech panicz spróbuje otworzyć drzwi! — mówi Andrzej i uśmiecha stę chytrze.

Wuś próbuje, ale drzwi trzyma coś od środka.

i nie puszcza. Andrzej ciągle się uśmiecha i kładzie rękę na futrynę:

— A teraz — mówi.

Teraz drzwi się odrazu otworzyły. To jest poprostu nie do wiary co ten Andrzej potrafi.

— Jeszcze raz! jeszcze raz! — prosi Wuś. ale Andrzej mówi:

— Niema czasu, trza zakładać.

— A jakto się robi temi drzwiami?

— O, to je sekret — mówi Andrzej, ale potem dodaje — Później paniczowi powiem, ale żeby panicz nie rozpowiedział.

— Ma się rozumieć, że nie!

Teraz Andrzej wynosi z wozowni cały pęk żółtych rzemieni, kółek i sprzączek, rzuca to na przegrodę, a potem wchodzi do konia i kładzie mu przez łeb poplątane rzemienie. To jest pewno to „zakładanie", ale na wszelki wypadek trzeba się spytać:

— Co Andrzej robi z tym siwkiem?

Andrzej widać jest zgorszony:

— A dyć.. ubieram.

I w tej chwili uprząż tak się ułożyła na koniu, jak się zwykle widuje w bryczce, albo na rysunku. Że też tyle przy tem trzeba zachodu. I to wcale nie jest ciągle i zawsze na koniu tak, jak na blaszanych konikach Wusia, tylko jak się gdzie jedzie. No, no!..

Jak ten Andrzej wszystko wie, gdzie co zapiąć, gdzie jaki rzemień przełożyć, gdzie kółko, gdzie sprzączka..! Gdyby pozwolił, to Wuś po-

mógłby... no i żeby ten koń co nie zrobił, bo jest taki duży...

— A może panicz spróbuje zaprządzać — jakby zgadł Andrzej i zaraz dodaje. — On ta paniczowi nic nie powi, spokojny..

— Ja się nie boję — mówi Wuś i z bijącem sercem wchodzi do zagrody.

Zachrzęściała słoma pod nogami i tuż - tuż znalazła się wielka, wysoka noga siwka. Przyjemna bliskość ciepłego, żywego ciała i zapach ostry mile drażniący odurzyłv prawie.

— Niech go panicz poklepie—mówi Andrzej i Wuś śmiało klepie po aksamitnej skórze napiętej na jędrnych mięśniach.

— Ten popręg niech panicz zapnie na klamrę — mówi Andrzej.

Trzeba się teraz poważnie wziąć do roboty i pokazać, że się nie jest niedołęgą:

— A na którą dziurkę?

— Tam je znak, bo zawdy na jedną się zapina.

— Aha, jest.

Klamra zapięta, choć rzemień nie przechodził znowu tak łatwo przez sprzączkę, jakby się to komu mogło zdawać.

— Może co jeszcze? — mówi Wuś, bo bardzo przyjemnie jest zrobić taką poważną robotę, którą zwykle robi dorosły i to taki, jak Andrzej.

— A to niech panicz przeciągnie lice bez te kółka na półszorku — mówi Andrzej i pokazuje gdzie są lice, gdzie półszorek, a gdzie kółko.

To wbije sobie Wuś tak dobrze w pamięć, że nigdy tego nie zapomni. Drugi raz już wstyd byłoby się pytać.

Wreszcie ubrane są wszystkie cztery siwki. Najładniejszy z nich jest oczywiście ten z białą strzałką na łebku. Andrzej też go chwali:

— O, ten to i pod wierzchem lekko niesie i w licu chodzi dobrze i w dyszlu. Dobry siwek! — klepie go po szyi.

Siwek... Siwek... Aha! wieszczy siwek Złotogrzywek koń Sobieradka! Tylko, że.. w bajce to jakoś łatwiej jechać na koniu, a na tego to... Ale Wuś przypomina sobie pierwszą walkę z Mieczem-Samosieczem i postanawia być odważnym skoro się jest Sobieradkiem... Mówi więc do Andrzeja:

— Niech Andrzej wsadzi mnie na Siwka.

Andrzej uśmiecha się i mówi.

— O, to ci panicz jak się patrzy. Ehe, jeszcze panicz wyrośnie na dzielnego wojaka. Wiadomo w mieskiem życiu to ta panicz kapine zdelikacony, ale serce do koni panicz ma — to grunt.
Teraz już Wusiowi za nic nie wypada się cofnąć, i za chwilę kurczowo się trzyma grzywy i uprzęży.

E, nie jest to znowu takie straszne... Dziwnie jest jakoś, wysoko od ziemi, ale... przyjemnie!

— No paniczu, będziemy zakładać — mówi Andrzej i zdejmuje Wusia, który z pewną miną klepie po szyi Siwka — A niech panicz przyjdzie jutro rano, albo kiedy, to przejedzie się panicz do wodopoju.

Ten Andrzej to jest doprawdy najmilszy czło-

wiek! I potem jeszcze w drodze do kościoła pokazywał jak się powozi i jak się jechało w piasku, to pozwalał potrzymać lejce (bo Wuś naturalnie siedział na kozle). Otóż okazało się, że wcale konie nie wiedzą gdzie jechać, tylko się je ciągnie za lejce. Wuś nauczy się doskonale powozić i może kiedyś będzie mógł zostać stangretem?

Teraz już nigdy nie nudzi się Zbyszkowi tak, jak to było z początku. Na gumnie ciągle się coś ważnego dzieje i trzeba przy wszystkiem być. Gumno jest tak ciekawe i ważne, że nawet jest prawdopodobne, że dwór istnieje dla gumna, a nie gumno dla dworu. Oczywiście, że i czworaki są dla gumna.

Odrazu jak się tylko wchodzi na gumno, jest stelmach. Zachodzi się więc do stelmszni i siada w rogu na pieńku. Stelmach hebluje równemi, długiemi ruchami, jakby głaskał drzewo, a koło jego mądrych rąk robi się delikatna piana wiórków, które pachną w całej stelmaszni.

Kiedy się wchodzi, stelmach kiwa głową, ale nic nie mówi, bo ma w ustach króciutki papieros który musi ściskać wargami, żeby się nie sparzyć. Czasem tylko zwiesi trochę dolną wargę z przylepionym ogarkiem.

Od czasu do czasu stelmach przestaje heblować i stuka młotkiem w hebel, potem suwa ręką po desce i mówi: „jak po maśle".

Kiedyindziej stelmach nie hebluje, tylko siedzi na jakiem stołku i struga oś, albo trzonek do siekiery. To robi się ośnikiem i tak się ciągnie

do siebie dwoma rękami. Nawet nie jest tak trudno samemu zrobić ośnikiem laskę, ale zacina się za głęboko i taka laska nie jest pewna.

Stelmach ma siwawe wąsy, żółte pod nosem i mało co mówi, ale czuć odrazu, że mu jest przyjemnie jak się do niego przyjdzie. Ponieważ nie może więcej mówić, więc tylko tak mruczy, że niby to śpiewa. A wogóle mówi tylko do drzewa, naprzykład:

— Koślawiec jeden! do stelmaszni się pchał! Pójdziesz na podpałkę i tyle.

albo:

— Nie bój się, dopasuję cię pięknie do drugiej i będzie z was żłób jak się patrzy.

Stelmach ma też tokarnię i robi piasty do kół, a nawet potrafi zrobić ładne nóżki do stołeczka.

Od stelmacha idzie się do obory, ale nie wiele tam ciekawego: krowy są na pastwisku i w oborze jest tylko byk i trochę cieląt. Byk jest nietowarzyski, a cielęta głupie.

W stajni fornalskiej też jest pusto, stoi tylko czasem jeden koń z bardzo grubą nogą obłożoną zaschłą gliną, albo klacz ze źrebięciem.

Najciekawsza jest stajnia stadniny i stajnia cugowa.

Najpierw się idzie do stadniny. Najczęściej wszystkie źrebięta są w okólniku. Jeżeli jest gorąco, to stoją w małym cieniu koło ściany i kiwają łbami. Jeżeli się ma trochę owsa w kieszeni, to się daje na wyprostowanej dłoni, a one

wszystko delikatnie zbiorą. Daje się też skórki od chleba: kawałek cukru. Jak się jest boso, to trzeba uważać, bo tak się pchają, że mogą udeptać, wtedy trzeba bardzo grubo krzyczeć „prr nastąp!"

Bardzo przyjemnie jak wszystkie obwąchują kieszenie i ręce czy jeszcze czego niema. Przy tej sposobności zrobił Zbyszek nadzwyczajne odkrycie: oto konie wolą owies od siana tak, jak się woli mięso od chleba. No, a cukier to dla nich też jest cukier.

Stamtąd idzie się do stajni cugowej.

Tam jest zwykle Andrzej i ma jakąś robotę, więc trzeba mu pomódz. Czyścić jest trochę za trudno, ale można wystukiwać kurz ze zgrzebła, albo założyć siano za drabinę. Nie jest też zbyt łatwo gwizdać koniom, żeby im się lepiej piło wodę, ale i to już się umie.

Miło jest kręcić się po stajni, rozmawiać z Andrzejem, albo włazić po barjerze na ciepłe, żywe grzbiety siwków.

Z Andrzejem rozmawia się bardzo poważnie i tak jakoś... na równi, jak z Marysią albo z panem Franciszkiem. Nie znaczy to naturalnie, żeby Zbyszek czuł się równy Andrzejowi, ale to właśnie tem przyjemniej.

Andrzej umie masę rzeczy nie mówiąc już o strzelaniu z poczwórnego bata i wskakiwaniu na konia z ziemi, naprzykład zawiąże sobie sznurek koło ręki, a potem trach!... sznurek przerwany. Umię także taką sztukę, że położy w dołku

dziesiątkę, a potem batem uderzy (samym końcem!) i dziesiątka wyskoczy z dołka. Albo przekręca kijem w rękach tak, że znajduje się w innych palcach, bez odrywania ręki. (Tego to nawet obiecał nauczyć).

Fornale także umieją wiele trudnych i ciekawych rzeczy. Naprzykład kręci się prędko bijak od cepów, a dzierżak trzyma się prosto i siedzi się w kucki, a potem trzeba prędko wstać i pocałować w koniec dzierżaka tak, żeby bijak nie uderzył. To jest bardzo trudne. Trudne jest też stanie na wozie i powożenie w ten sposób. A to umie każdy fornal i nawet parobcy.

Najmłodszy parobek to jest Władek od stadniny i Paweł od kuców.

Ach, kuce! jest ich dwa: Sołtys i Sołtyska. Obydwa są graniaste jak krowy, albo świeżo obłupane basztany. Jest do nich mały wózek, którym się wozi mleko do miasta i przywozi wykę i albo seradelę dla krów.

Jak tylko zobaczy się, że Paweł przyjechał z wyką to leci się do stodoły i pomaga mu się zrzucać, a potem kuca się na dennicy i jedzie się w pole.

Zaraz koło drogi stoi wysokie żyto i jedzie się między niem a płotem ogrodu, potem koło chmielu, który wygląda jak duża klatka i nie dojeżdzając do starej cegelni, skręca się na prawo. Jedzie się po zielonem ściernisku wyki, aż dojedzie się się do pokosów. Czasem jest tam stary Badura i kosi.

Tam bierze się widły od Pawła i nakłada się wóz. Paweł może sobie przez ten czas leżeć i palić papierosa, zupełnie bez jego pomocy zrobi się wszystko. Dopiero jak sporo nałożone, to się we dwuch podnosi deski, żeby można było wyżej nałożyć.

Z powrotem albo się powozi, leżąc na brzuchu, albo pozwala się powozić Pawłowi. a samemu leży się na wznak, żując słodką łodyżkę wyki i patrzy w niebo.

Wózek kołysze się miękko i posuwa w niewidocznym kierunku, a czasem zdaje się, że nagle zaczyna jechać w przeciwną stronę i wtedy trzeba się podnieść i zobaczyć ziemię. Leżąc tak, zgaduje się gdzie się jest:

— Paweł, jesteśmy już koło chmielu, prawda?

— Tak, paniczu.

— A teraz koło ogrodu?

— Tak.

Potem albo się jeszcze raz jedzie z Pawłem, albo idzie się znowu do cugowej. Pomaga się Andrzejowi smarować uprząż i gawędzi się. Andrzej nie był nigdy w Warszawie i pyta się jak tam jest. Bardzo jest przyjemnie, że takiemu człowiekowi, jak Andrzej można coś opowiedzieć, czego on nie wie.

— A te domy to duże tam w Warszawie, paniczu?

— Ooo! strasznie duże. Jedno piętro na drugiem i jeszcze jedno i jeszcze jedno...

— A jakżeż tam ludzie chodzą?

— Są schody, ale trzeba strasznie wysoko iść. Nawet jeden pan to tak szedł, szedł, szedł i umarł... Bo był bardzo stary rozumie się.

— Hm. A powozów dużo tam jeździ?

Bardzo dużo. Jak trzeba przejść przez ulicę, to się tak trzeba rozpędzić i dopiero z całych sił...

— Hm. A jakże stare ludzie przechodzą?

— Noo.. czekają, aż mniej trochę będzie jechało i dopiero przechodzą.

Po rozmowie Andrzej poi siwki. Wtedy siada się na tego z białą strzałką i jedzie do koryta, nawet nie trzeba kierować, bo on sam idzie. Potem nachyla nizko łeb, że można upaść.

Kilka już razy jechał Zbyszek kłusem, chociaż to trzęsie. Uderzył piętami w boki a potem się bardzo mocno trzymał nogami i nic mu się nie stało.

Jak już Andrzej poi siwki, to blisko jest południe. Wtedy zaczynają przyjeżdżać wszyscy z pola i jest jeszcze ciekawiej. Idą krowy i niemowa krzyczy na nie:

— A tiu! tiu!

A one go rozumieją doskonale i idą gdzie trzeba.

Fornale i parobcy jadą na koniach, a konie są w uprzęży, a czasem to ciągną przewrócony płóg, albo jadą z wozem. Wszystkie konie i krowy piją przy studni, a fornale biorą worki i idą do śpichrza. Śpichrz ma ładny, wysoki ganek, a we środku jest ciemno, bo są tylko małe za-

kratowane okienka. Karbowy nabiera owsa garncem i sypie w worki, a fornale głośno mówią:

— Raz, dwa, trzy..

Wtedy można wejść do śpichrza i chodzić bosemi nogami po sypkich, łaskoczących górach zboża. Bierze się też trochę owsa w czapkę i kieszenie i idzie do stadniny.

Do spichrza przychodzi też czasem wuj i mówi:

— No, co tu majstrujesz, pan brodzieju co?

Ale nie jest zły, tylko tak głośno mówi zawsze. Wtedy można się spytać, gdzie będą robić fornale po obiedzie. I wuj mówi:

Podoba ci się, pan brodzieju, wieś co? Będą na Iłach obradlać.—Po obiedzie więc trzeba przypilnować jak fornale jadą na Iły, siąść na konia i pojechać z którym fornalem. Tylko, że na fornalskich koniach jest gorzej jechać niż na siwku, bo im wystaje akurat pośrodku twarda kość.

Wraca się z pola najczęściej z fornalami, ale czasem przyjedzie wuj bryczką z Andrzejem i zabierze wcześniej. Wtedy zsiada się odrazu na gumnie, żeby wuj nie zabrał do domu.

Wieczorem jeszcze trzeba zajść do obory gdzie siada się na ciepłej, parującej kupie seradeli, lucerny albo wyki i słucha jak w ciemności, postękują i żują krowy, a mleko strzyka do szkopków.

Jak się przyjdzie do domu, to ciocia każe myć nogi i mówi, żeby tak dużo nie latać. A na drugi dzień trzeba znowu lecieć na gumno, bo

nigdy nie wiadomo co ważnego się stanie. Oto naprzykład mało nie przegapiło się początku żniwa. Wprawdzie Andrzej mowił już od tygodnia:

— Widzi mi się, paniczu, że będziemy żąć.

Także wuj przychodził na obiad z kłosami w kieszeni, rozcierał na ręku, dawał cioci i mówił:

— Jak pieprz, pan brodzieju, co? Będziemy żąć.

Ciocia wtedy z poważną miną gryzła ziarnko i mówiła:

— Hm. Chyba, że..

Zbyszek też rozcierał kłosy i próbował zębami czy ziarnka są twarde, a kowal który, reperował żniwiarki mówił do Zbyszka:

— No, co paniczu, puszczać?

To było naturalnie na żarty.

Tak więc zapowiadały się żniwa oddawna ale nie wiadomo było kiedy naprawdę się to zrobi. Aż tu pewnego rana na gumnie ukazała się dziwna rzecz: Andrzej zakładał dwa siwki do prostego, drabiniastego wozu.

— Na zwózkę jedziem, paniczu! krzyknął.

Okazało się, że za chmielem już żną i Andrzej będzie też zwoził zboże.

— Ale niech panicz weźmie od cioci złotówkę, bo jak zwiąże, to trzeba się wykupić, powiedział Andrzej.

— A poczeka Andrzej?

— Poczekam. Aby nie długo;

— Nie, nie!

Za chwilę wyjechali z gumna. Rrzeczywiście

do chmielu słychać było pracowite terkotanie żniwiarek, a za chwilę spotkali wóz wyładowany wysoko zbożem. Aż dziwnie było, że takie małe konie uciągną taki wóz,

Wreszcie dojechali. Ach, co to zaczęła się za robota! Można było kręcić się po stercie, jeździć na wozach, podawać snopy, jechać do stodoły i z fury odrazu wchodzić do sąsieku, gdzie wysoko było włożone zboże i moc innych rzeczy można było robić. Naturalnie, że Zbyszka związały dziewczyny powrósłem i dał im złotówkę.

Wszystko co przyjemne musi się jak na złość prędko skończyć, tak było i ze żniwami. Jeszcze tylko było okrężne, ale tam niebardzo było co robić, tylko się można były patrzeć. Jedyna teraz pociecha, że można czasem pojechać na Sołtysie, albo popędzić stadninę do pławienia do stawu.

Zresztą gumno zrobiło się trochę nudne.

Idzie Zbyszek koło stawu, puścić kamieniem „kaczkę" po wodzie, postraszył pawie, ale właściwie nie ma nic do roboty. Ze zwyczaju zaszedł do cugowej stajni. Był tam Andrzej i jakiś chłopiec.

— To mój syn — powiedział Andrzej — Józik, Ciągle ino majstruje.

Józik się zawstydził i schował za przegrodę, Pokaż — że paniczowi tą swoją strzelbę — mówi Andrzej,

Józik wyjął z za kurtki drewniane widełki z jakiemiż sznurkami i powiedział:

— To się nazywa proca.

— A do czego to?

Józik się ośmielił:

— Niech panicz patrzy, o!

Wziął kamień, naciągnął i strzelił strasznie daleko.

— Ten to wranę zabije! — pochwalił się.

Wspaniała boroń!

— A tybyś mnie zrobił taką?

— Czemu nie? Ino niech panicz kupi w aptece gumy.

— To ja jeszcze dziś powiem Pawłowi.. Ale ty przyjdż tu do stajni,

— Przyjdę na odwieczerz i przyniosę widełki.

I Józik dotrzymał słowa: kiedy Zbyszek zjawił się z gumą, Józik już był z widełkami i sznurkiem.

— Masz? pyta cicho Zbyszek.

— Mam!

— Pokaż!

— Chodźmy lepiej, paniczu, za stajnię.

Rzeczywiście, że lepiej. Jeszcze nadejdzie wuj albo co...

Józik zmajstrował procę bardzo prędko, ale to nie jest trudne: teraz to i Zbyszek potrafiłby. Tylko jak trzeba strzelać?

Józik pokazuje i tłomaczy:

— Niech panicz ściśnie prawą ręką, o tu, a lewą trza wziąć kamień i naciągnąć..

Pierwsza próba zupełnie się nie udała: kamień upadł o kilka kroków. Zbyszek zarumieniał się ze wstydu, ale drugi raz.. Drugi raz było nieco lepiej. A teraz Zbyszek się zaciął i strzela i strzela..

Wreszcie zdaje mu się, że już potrafi. A Józik mówi z pewną miną:

— No, kto dalej? Do tego kaśtana!

Kamień Zbyszka upadł coprawda niedaleko kasztana, ale Józika to aż świsnął po liściach.

Ale to nic: trzeba się tylko wprawić, to dorówna się i Józikowi.

— Bądź jutro koło furtki — żegna się Zbyszek — to pójdziemy na polowanie, dobrze?

A no dobrze!

Ale tymczasem się odwlekło, bo wuj powiedział przy kolacji:

— Jutro przyjedzie nauczyciel, pan brodzieju. Dosyć pan brodzieju, zbijania bąków.:.

I zaczęło się! Że Zbyszek jest zcicha pęk i że z morskiej piany i że jak przeskrobie to oberwie, aż łzy zaczęły piec w powieki.

Ale Zbyszek trzymał się i nie płakał, bo wuj wcale niesprawiedliwie się czepiał.

I wcale Zbyszek nic nie chce z cicha pęk, bo ma dużo do spytania się pana nauczyciela. I taki nauczyciel to jest pewno jeszcze mądrzejszy od Andrzeja i pana Franciszka, i silny i potrafi wszystko zrobić. I będzie opowiadał o zwierzętach, bo on wszystkie widział, a może nawet polował na niedźwiedzie, albo słonie?

I wuj tylko popsuł przyjemność.

Na drugi dzień Zbyszek akurat szedł do stelmacha, kiedy zobaczył, że zajeżdza Andrzej i ktoś siedzi w bryczce. Zaraz więc zawrócił i popędził z całych sił:

— Napewno pan nauczyciel!

Tymczasem był to jakiś zupełnie zwyczajny pan. Nie mógł trafić na stopień bryczki i miał okulary. Ale kiedy Zbyszek podbiegł, ciocia powiedziała:

— No, Zbyszku, przywitaj się z panem nauczycielem.

Więc to.. więc to jest nauczyciel? Nie, to napewno jakaś pomyłka..

A może on zaraz zmieni się na całkiem innego? Nie wiadomo coprawda co mu można zarzucić temu nauczycielowi; wygląda jak taki sobie pan... A może właśnie to? Przecież prawdziwy nauczyciel jest inny!

Ten się nazywa pan Kwiatkowski i będzie mieszkał w gościnnym pokoju, koło salonu. Ciocia zaprosiła go do jadalnego i jadł jajecznicę.

— Mówił:

— Onegdaj wyjechałem..

„Onegdaj" to jest bardzo dziwne i dotąd nie spotykane słowo, więc może jednak on jest mądry, ale dlaczego nie umiał zejść z bryczki?

Potem poszli do pokoju Zbyszka i była też ciocia. Ciocia powiedziała:

— Książki do nauki są na górnej półce. Może pan przejrzy?

Pan Kwiatkowski brał każdą książkę blisko do nosa, przewracał kilka kartek i wąchał, a potem układał na dwie kupki: jedną mniejszą, bliżej siebie i większą — dalej. Nie bardzo to dobrze świadczyło o panu Kwiatkowskim, że nie

mógł się obejść bez książek i w dodatku brał te, które były od samego początku w szafce Zbyszka. Zresztą książki były stare i nieapetyczne, dobrze przynajmniej, że pan Kwiatkowski kazał chować większą kupkę, a mniejszą zostawił.

Potem pan Kwiatkowski pisał coś długo w kajeciku. Podczas tego Zbyszek zauważył, że pan Kwiatkowski ma na czole dwa guzy i pomyślał, że tam musi siedzieć mądrość, ale to było bardzo brzydkie tak, jak jaka choroba. Zbyszek pomacał sobie czoło czy nie ma takich guzów, ale nie — nie było.

— Noo.. tak — powiedział naraz pan Kwiatkowski. — Czy uczyłeś się już czego?

— Nie.. właściwie miałem pannę Leonję, ale to się nie liczy — powiedział Zbyszek.

Pan Kwiatkowski patrzył na Zbyszka nad okularami, znaczy więc, że nie były mu wcale potrzebne.

— Hm. tak. Uważaj teraz: to jest twój dzienniczek. Zapisałem ci tutaj rozkład lekcji, a ty będziesz zapisywał, to co ja ci zadam. Także stopnie będę ci tu stawiał, rozumiesz.

Wypadało odpowiedzieć „rozumię", chociaż to wszystko było niezmiernie dalekie, obce i wrogie. Na pokratkowanej stronicy dzienniczka powtarzały się słowa; geografia, przyroda, matematyka, kaligrafia...

Słowa były sztywne, pomalowane olejną farbą i każde z nich miało okulary.

Teraz może była najodpowiedniejsza pora, żeby jeszcze zrobić ostatnią próbę, czy od tego nauczyciela można się czegoś dowiedzieć. Pyta więc Zbyszek:

— Proszę pana, dlaczego jak jechać pociągiem i patrzeć na szyny, to one uciekają, a jak spojrzeć na deskę, to się zatrzymują. I co to jest wieś: czy to pole, czy domy i zwierzęta, bo..

— Hm. Widzę że starasz się zyskać na czasie. Nieźle jak na początek — powiedział pan Kwiatkowski.

To było niezrozumiałe i Zbyszek czekał kiedy pan Kwiatkowski zacznie mu tłomaczyć, ale on już nic o tem nie powiedział. Pewno nie wie i tak się wykręca.

— Noo zaczniemy teraz geografię — powiedział pan Kwiatkowski i przymknął oczy.

— A co to jest?

— Nauka o różnych krajach — otworzył oczy pan Kwiatkowski i znowu zamknął.

Hm, może to będzie ciekawe? Zbyszek usadowił się wygodnie i podparł brodę, ale pan Kwiatkowski znowu otworzył oczy, chrząknął i powiedział:

— Hm. Nie rozkładaj się. Siedź prosto.

Zbyszek się wyprostował i poczuł, że w nim też coś się wyprostowało i zesztywniało.

Teraz zaczęły się sypać jakieś pokruszone, niezwiązane słowa, uderzały monotonnym stukotem w stolik i spadały na podłogę. Wszystko to było niepotrzebne i Zbyszek wiedział, że pan Kwiatkowski powinien powiedzieć coś innego, ale się wykręca. Słuchał tak sobie, ale wiedział, że to niepotrzebne. W jednem miejscu złapał nawet pana Kwiatkowskiego.

— A przecież pan mówi, że ziemia jest okrągła, to horyzontu znaczy się niema? A jak horyzont widać, to znaczy się, że ziemia się kończy?

Pan Kwiatkowski otworzył oczy i spojrzał nad okularami bardzo nieprzyjemnie i za długo, a przytem powiedział:

— Hm. Nie rozumuj zanadto. Horyzont to jest linja, która — jak nam się zdaje — łączy niebo z ziemią.

— A dlaczego się zdaje? — tryumfował Zbyszek.

— Przez złudzenie optyczne, złudzenie oczu, rozumiesz?

— Uhm, mruknął Zbyszek dla świętego spokoju, ale wcale się nie przekonał.

Potem pan Kwiatkowski naznaczył fioletowym ołówkiem krzyżyk i powiedział:

— Tego się nauczysz.

— Jak się nauczyć? Na pamięć, czy opowiadać?

Pan Kwiatkowski znowu patrzył długo:

— Opowiadać — powiedział — Ale dokładnie.

Potem jeszcze była botanika i gramatyka i historja... O nic już się nie warto było pytać, bo pan Kwiatkowski wcale nie odpowiadał, albo mówił, że to „nie należy" do lekcji. A potem już codzień ciekły te lekcje leniwym, drobnym strumyczkiem. Najgorsze to było to, że trzeba było ciągle uważać i nie ruszać się na krześle, ani nic nie robić palcami. I tak Zbyszek zawsze przed lekcją otwierał okno i dopiero jak wchodził pan Kwiatkowski, Zbyszek wołał:

— O, zapomniałem zamknąć okna! — i zamykał.

Także bibułę na stoliku można było obrywać na kantach, ale cóż to wszystko znaczy? Żeby przynajmiej okno miało jakieś trudniejsze zamknięcie, albo co!..

Chociaż lekcje zaczęły się niedawno, ale wydaje się, że zawsze tak było. Zawsze siadało się przy tym stole pokrytym pochlapaną i poobrywaną bibułą; zawsze leżały te same wrogie książki i zawsze pan Kwiatkowski patrzył nad okularami, jak się czego nie umiało i mówił:

— Noo..?

Na dworze jest dziś bardzo ładnie i trzebaby nazbierać kasztanów, a tu musi się odrabiać lekcję...

Klimat klimat... gorący... opady atmosferyczne dość częste... na metr kwadratowy powierzchni wypada ...metrów sześciennych wody...

Jakto? więc woda stoi na ziemi w takich sześcianach? rzeki... rzeki są następujące ...następujące.. Warto się spytać pana Kwiatkowskiego o tą sześcienną wodę, ale się znów wykręci, jak zawsze...

Pendżab... Pendżab... (trzeba pamiętać, że to podobne do „pięć żab,„ a ponieważ tam dużo rzek, więc są żaby)... Bombaj... Bombaj (takie duże miasto gdzie dzwonią dzwony — „bom!“ i wygląda jak miasto z bajki — więc „baj“. Tak najlepiej zapamiętywać.)

Kalkuta... Kalkuta... do czego to może być podobne?... „kuta“ no to jeszcze... ale „kal“...

Ech, już i tak zapóźno, idzie pan Kwiatkow-

ski. Siada na swoim krześle, chrząka i zamyka oczy:

— Noo? co mieliśmy na pierwszą lekcję.

— Religja.

— Hm. Religja... Co było z religji?

— O Ezawie i Jakóbie.

Noo?...

(Ach, jak Zbyszek nie znosi tego: noo!)

Zbyszek opowiada: ...więc matka jemu poradziła i on się owinął w skórkę koźlęcia i ojciec myślał, że to Ezaw, bo był ślepy, a to jego tak Jakób oszukał... i...

— Jakto oszukał?

To tak się odpowiada z Historji Świętej?

— Aa... to Jakób był święty?....

— Nie był święty — mówi trochę niepewnie pan Kwiatkowski — ale to był patryjarcha.

— A... czy to był polak?

— Hm. Ładnie się uczysz, jeśli nie wiesz, że to był naród izraelski.

— Bo... proszę pana, karbowy mówił, że Abraham to był żyd.

— Hm. Ładnych nauk słuchasz, od karbowego się będziesz może uczył Historji świętej?

— Nie... bo... ja się tyko pytam — mówi niechętnie Zbyszek.

A potem mruczy:

— Oszukują się, zabijają i to jeszcze żydzi, a ja się muszę uczyć.

Także!

Pan Kwiatkowski zadaje dalej i przechodzi

się do botaniki. Zbyszek, z nudów stara się mówić głosem podobnym do pana Kwiatkowskiego:

...Kielich składa się z zielonych działków, natomiast korona składa się z białych lub kolorowych płatków. Dalej widzimy słupek i pręciki z pylnikami. Działki i płatki bywają albo zrośnięte, albo oddzielone. Słupek składa się ze znamienia, szyjki, zalążni. Jeżeli pyłek z pylników upadnie na znamię...

Zbyszek rysuje nawet jak to wygląda, ale zupełnie nie wie, po co to wszystko. Geografia także minęła jakoś, choć dwa razy pan Kwiatkowski powiedział: „Niebardzo, niebardzo".

— Noo? dlaczego nie zrobiłeś zadania?

— Bo... proszę pana... ja nie mogę tego zrozumieć...

— Jakto, przecież robiłeś już zadanie na to prawidło!

— Prawidło? jakie znowu prawidło? Tam było przecież o pociągach, a tu o rurach i tym... basenie.

— No, więc uważaj! — mówi pan Kwiatkowski. — Jeżeli dwie rury zapełniają basen w przeciągu 40 minut, a jedna rura... — Pan Kwiatkowski i Zbyszek pochylają się nad zeszytem: i łapią małe, suche cyfry.

Ale Zbyszek nie może wytrzymać: — Proszę pana, ale to strasznie głupio, żeby nalewać do takiego basenu i jednocześnie wylewać z niego?..

— Hm. Nie twoja rzecz czy to głupio! Głupio jest jak nie zrobisz zadania — mówi pan Kwiatkowski.

Zbyszek czuje, że znowu coś ciężkiego siada mu na plecach, a oczy zachodzą mgłą.

— No, widzisz, zrobiłeś! Rozumiesz teraz?

— Rozumiem...

Niby Zbyszek rozumie, ale już czuje, że mu się coś plącze w głowie, a za chwilę napewno nic nie będzie wiedział.

— Noo, co było z polskiego?

—Opowiadać o Mikołaju Reju. To bardzo ciekawe, jak on wronom poprzywiązywał...

— Opowiadaj porządnie.

— Mikołaj Rej urodził się w Nagłowicach i jak był jeszcze chłopcem — to nie chciał się wcale uczyć...

— Tak jak ty — wtrąca pan Kwiatkowski.

— Aha, a on później został sławnym i teraz inni muszą się o nim uczyć aha!

— No, dobrze, dobrze! opowiadaj dalej!

Wreszcie odbębnione wszystko i lekcja skończona. Dla pewności, żeby nie spotkać się z wujem, wyskakuje się przez okno.

Dobrze przynajmniej, że Józik jeszcze czekał.

— Chodź, będziemy strzelać do zwierzyny!

— Do jakiej zwierzyny?

— No.. na niby naturalnie. A potem niby upieczemy i zjemy.

— To wie panicz, co? Chodźmy lepiej na marchew albo rzepę.

— A... to można?

— E, co tam! Boi się panicz?

— Wcale nie!

Józik znał taką dziurę w płocie i tam można było doskonale przejść.

— Ale wiesz, Józik? To będą niby niedźwiedzie, te rzepy, a my będziemy polować...

— Można — mówi Józik, ale nie rozumie widać, że to tak ciekawiej. — A ma panicz kozika?

Zbyszek trochę się zawstydził, że nie ma, bo to każdy mężczyzna powinien mieć.

— Pożycz mi tymczasem — mówi do Józka A jutro poproszę, to ciocia mi da na kozik i Paweł mi kupi.—Taka rzepa prosta z ziemi, obrana kozikiem, jest poprostu wspaniała! zupełnie inaczej smakuje, niż takie zwyczajne jedzenie, na stole. Tu przynajmniej człowiek sam zdobył żywność, jest niebezpieczeństwo (ogrodnik!) i wogóle.. ciekawiej.

— A wie panicz, co? Jutro to poszlibyśmy na kartofle. I upieczemy je w ogniu.

— Doskonale!

— Tylko niech panicz zapałków weźmie i motykę.

— A skąd motykę?

— A w komórce u ogrodnika. Tam można przez okno wsadzić rękę...

Po wyprawie na kartofle zaczęła się poważniejsza sprawa: buduje się „schowanko"!

Schowanko jest w „najgęstszej gęstwinie" tuż nad „okiem", które, jak mówią, przechodzi na drugą stronę ziemi i raz się tam utopiły dwa woły. (Gdyby pan Kwiatkowski był inny, można-

by go się zapytać, czy to prawda, z tem przechodzeniem na drugą stronę ziemi.)

Schowanko tak jest ukryte splątanemi gałęźmi, że tylko znający drogę, mogą się tam dostać Wewnątrz jest malutkie miejsce, oczyszczone z gałęzi i ustawiona buda z mat słomianych (z inspektów), pokrytych liśćmi i trawą. Ziemia jest wyrównana, pokryta deskami, a pod deskami jest nora — piwnica. Tam się będzie chować różne potrzebne rzeczy. Tymczasem jest tam jedna stara motyka (ale jeszcze zupełnie dobra), kamienie do procy i zapasy: marchew, rzepa i kartofle.

Kiedy się idzie do schowanka, kołuje się zdaleka, żeby kto nie podpatrzył i wchodzi się do ogrodu z przeciwnej strony, od chmielu. A potem pomiędzy grochem i pomidorami dociera się chyłkiem do „schowanka".

Bardzo przyjemnie mieć taką tajemnicę, której nie domyślają się ani ciocia, ani pan Kwiatkowski, ani nawet wuj.

Naturalnie mając takie wspaniałe schowanko trzeba „czemś być". To znaczy, że trzeba się jakoś inaczej bawić i zachowywać niż zwyczajni dwaj chłopcy. Zresztą i Józik to rozumie doskonale i podaje różne pomysły.

Zbyszek myślał, czy nie być królewiczem, ale zdaje się, że dwuch królewiczów nie mieszkało nigdy razem. Królewicz zawsze sam jedzie na przygody. Józik chciał, żeby być żołnierzami, ale

Zbyszkowi niebardzo się to podobało, wtedy Józik zaproponował w złodziei.

— Dobrze! w złodziei!

To będzie sto razy lepsza zabawa, niż ta na podwórzu w Warszawie. Czy taki Walek miał naprzykład schowanko?

Ale po jakimś czasie znudziło się Zbyszkowi być ciągle złodziejem. Wyciągało się tylko rzepę i marchew, a właściwie nic się nie działo.

— W złodziei się nie opłaci właściwie — tłomaczył Józikowi. — Lepiej już w zbójców, co ich jest dwunastu, albo w takich, co jest ich trzech i mieszkają ze starą babą.

— Niechta będzie w zbójców — zgodził się Józik.

— To musimy mieć maczugi — mówił Zbyszek i Józik musiał się na to zgodzić, bo nie wiedział, czem się tacy zbójcy zajmują.

— I to koniecznie nabijane krzemieniami!

Z tem właśnie był największy kłopot i dopiero stelmach im pomógł. Naturalnie musiał dać słowo, że nie zdradzi.

Maczugi schowało się także w schowanku.

Zbójcami było ciekawiej być, niż złodziejami, tylko Józik trochę psuł, bo nie znał się wcale na zbójcach, a ciągle coś chciał urządzać, a jak nie, to się zaraz obrażał.

— Zbójce to muszą mieć swoją mowę sekretną — mówi naprzykład — Najlepiej na „wene".

— Jakto na „wene"?

— No, na przykład: wene-ja wene-pój wene-de wene-do wene-o wene-gro wene-du.

Ostatecznie Zbyszek się zgodził na to, chociaż nie był pewien czy zbójcy tak mówią.

A często znów trudno było Józikowi wytłomaczyć zwyczaje zbójów.

Zbyszek mówi:

— ..i musimy się zaczaić gdzie w lesie...

A on się pyta:

— A po co?

— No, naturalnie, żeby napadać i ograbiać.

— No, to chodźmy na makówki, że to niby będą ludzie.

— Można — godzi się wtedy Zbyszek — Ale to właściwie nie to.. Bo zbójcy muszą napadać na przejeżdżających.

Aż kiedyś Józik się uparł, żeby mu przeczytać „tę książkę o zbójcach“, bo inaczej to on nie wie, jak się bawić.

— To nie jest cała książka o zbójcach, tylko to jest „Bajarz“. Ale dobrze, możemy przeczytać. Ja sam już nawet dawno nie czytałem...

Postanowiono, że czytanie będzie się oczywiście odbywać w schowanku.

„Bajarz“ się gdzieś zapodział w szafce i trzeba było wyciągać dużo książek. Kilka z nich miało rysunki na okładce i we środku tak, że Zbyszek zapomniał na śmierć o Bajarzu i zaczął oglądać.

Byli tam wspaniali ludzie z piórami na głowie i ciemną skórą.

Aha! tacy sami są w geografii więc, to wszystko prawda, co tu jest napisane, a nie takie bajki, jak w „Bajarzu.“

Oni się nazywają indjanie czerwonoskórzy i każdy ma takie ładne imię: Sokole Oko.. Szybki Jeleń.. Chytry Wąż..

Zaczynało się wszystko od ogniska, przy którem siedział podły metys Joe, ze swoim synem, ale nie wiedzieli, że w krzakach podsłuchiwał ich...

A co było dalej?

„Mój biały brat nie zawiedzie się na Wielkim Jastrzębiu: Komancze nie zdradzają przyjaciół, jak to robią te psy, Apasze!“

„...wściekłość wykrzywiła mu twarz i cisnąc swą ofiarę, wyciągnął już swój zakrzywiony dłu-

gi nóż, do skalpowania, kiedy spadła na niego błyskawiczna jakaś postać."

Wspaniałe! wpaniałe!

Ach, Boże, żeby tylko wielki Jastrząb zdołał zebrać wojowników Przecież ci są już przywiązani do słupa męczarni! A może oni się jakoś uwolnią?...

Ach, żeby prędzej, żeby prędzej! Najgorzej z tymi nietysami! Niepotrzebnie im wtedy darowali życie...

Naturalnie to bardzo szlachetnie ze strony Sokolego Oka — ale teraz...

„Komancze gnali jak wicher przez prerje, aby zdążyć przed świtem na Wilczą polanę"... (Chwała Bogu!)

„Już świtało gdy ujrzeli na horyzoncie mały lasek, w środku którego znajdowała się Wilcza polana. Nad laskiem unosił się dym, pochodzący zapewne ze stosów, na których palono „blade twarze"...

Och! jakto? więc spóźnili się? ci źli mają zwyciężyć?

Naturalnie, że nie: zwyciężają zawsze szlachetni biali i ich sprzymierzeńcy Komancze. A podstępnych kłamców i tchórzów, Apaszów i metysów spotyka zasłużona kara.

— — — — — — — — — — — —

Kiedy wszedł pan Kwiatkowski — Zbyszek nie zrozumiał z początku kto to i czego tu chce. Patrzył na niego zdziwionemi oczami, które tyle czasu błądziły po prerjach.

Z trudem przypominał sobie coś, jakby sięgał pamięcią w daleką bardzo przeszłość.

Tak, bo też te lekcje jakże dawno już były!.. Ileż przez ten czas wielkich czynów dokonało się z Wielkim Jastrzębiem i Sokolim Okiem! Ile puszcz i stepów zjeździło, jakie niebezpieczeństwa przebyło.

Ale pan Kwiatkowski patrzy jak zwykle z nad okularów i mówi:

— Noo.

I Zbyszek zobaczył wyraźnie bibułę na stole, książki, dzienniczek i poczuł, że znów jest małym chłopcem, który nie zrobił zadania o dwuch pociągach, wychodzących z A i B.

Lekcja naturalnie wypadła źle i pan Kwiatkowski powiedział, że poskarży wujowi, ale cóż to znaczy wobec tego, że metysi znowu się uwolnili i tropią Ryszarda, a nie wiadomo co się stało dalej.

Zaraz po lekcji, Zbyszek pobiegł do czworaków i wywołał Józka.

— Bajki? — spytał cicho Józik.

Zbyszek tylko ścisnął go za rękę:

— Coś sto razy lepszego!

Natychmiast ruszyli do schowanka i zaczęły się na nowo te wspaniałe przygody. I chociaż Zbyszek wiedział wszystko do połowy, ale drżał ciągle o los swoich wybranych.

Dopiero o zmroku skończyło się i Zbyszek zaraz powiedział Józkowi:

— Żebyś wiedział, że to wszystko prawda, bo w mojej geografji są też indjanie.

Józik oczywiście uwierzył.

Potem schowanko nazwano wigwamem, postanowiono nawoływać się tylko trzykrotnem szczekaniem kujota i przysiężono straszną tajemnicę.

Zbyszek jeszcze przypominał Jóżkowi:

— Pamiętaj, żebyś ani słówka nie powiedział. My jesteśmy Komancze, a Komancze nigdy nie zdradzają.

— To się wi!

— I musisz mi mówić „mój szlachetny bracie“, inaczej wszystko na nic. No, więc?...

— Dobrze, mój ślachetny bracie.

— Albo: „mój dzielny bracie“. Można i tak. I musimy się koniecznie ponazywać. Ja będę Wielki Jastrząb.

Ale Józik też chciał być Wielkim Jastrzębiem.

To było straszna trudność, bo wszystko mogło się popsuć, więc trzeba było coś postanowić. I Zbyszek wynalazł taki sposób, że ten będzie Wielkim Jastrzębiem, kto się „odznaczy“.

Józik trochę się wahał, pytał się:

— A czem?

— No, wyratuje kogo, albo zwycięży...

— E, kiedy niema kogo ratować ani zwyciężać...

— No, ale.. coś się znajdzie. Obaj będziemy się namyślać czem się odznaczyć... więc czy mój dzielny brat godzi się na to?

— No, to niechta będzie, mój dzielny bracie.

— No, to dobrze! Dobranoc, mój wielki bracie!

— Dobranoc, mój ślachetny bracie!

— Ale, Józik, jutro rano mnie obudź, pamiętaj!

— Dobrze paniczu!

— Dobranoc, mój wielki bracie!

Pan Kwiatkowski spogląda groźnie przez wierzch okularów i mówi: „Noo?"

Ale Zbyszek już nie boi go się tak, jak z początku. Bo wyobrazić tylko sobie pana Kwiatkowskiego na prerji, lub w puszczy! Najmłodszy chłopiec z plemienia Komanczów dałby mu radę...

Cóż taka niedołęga może zrobić? A on jeszcze myśli sobie, że jest wielka figura i rozkazuje Zbyszkowi, także!

Przyczepia się z jakiemiś głupiemi „wyjątkami", kiedy człowiek ma tyle pracy.

Właśnie dzisiaj będzie się wtykać gałęzie dookoła „schowanka" żeby je jeszcze lepiej ukryć; pozatem obaj Komancze zbroją się poważnie: mają robić łuki ze strzałami i oszczepy. Roboty jest moc!

A na jutro naznaczone wielkie polowanie w lesie, z pewnością spotka się jaką grubą zwierzynę. (Andrzej mówił, że są tam dziki!). I cóż wobec tych ważnych spraw znaczą te głupie lekcje, te wszystkie gramatyki i matematyki? Indjanie nie uczą się tego, a są piękni, bohaterscy i szczęśliwi. A cóż taki pan Kwiatkowski?

I tem smutniej się robi, że on właśnie ma prawo do człowieka: rozkazuje, gada, rządzi się..

I teraz z ust sypią mu się szare, suche jak popiół słowa. Sypią się ciężkim obłokiem, dławią gardło, zakrywają mgłą oczy i gaszą słońce.

Zbyszek aż obejrzał się na okno, żeby zobaczyć czy słońce świeci.

— Nie patrz w okno. Uważaj. Potem znów nie będziesz umiał powtórzyć.

Można się nawet przyzwyczaić do tych znudzonych sobą uwag, nie robią już nawet wrażenia dwójki wygięte złośliwie, ani brutalne, groźne „pałki". Niech tam sobie stawia! Żeby tylko prędzej się wyniósł: tam czeka Józik z różnemi sprawami, a ten marudzi.

Ale dzisiaj był fatalny dzień: już pan Kwiatkowski miał wychodzić, kiedy zjawiła się ciocia.

— Jakże dzisiaj? — spytała.

— Coraz gorzej! coraz gorzej! — skrzeczy pan Kwiatkowski i patrzy z ukosa na Zbyszka— Jak tak dalej pójdzie, to doprawdy nie wiem co z niego wyrośnie.

Ciocia patrzy tak dziwnie, jakby żałowała, albo jakby jej było przykro i trzeba zaraz spojrzeć w inną stronę, żeby łzy nie zakręciły się w oczach.

— Widzisz Zbyszku—mówi ciocia —a właśnie przyszedł list od mamy...

...od Mamy? — mówi bezgłośnie Zbyszek otwartemi, jak ryba ustami — Od Mamy...

I czuje, że coś urosło mu w piersiach tak

bardzo, że już nie starczy miejsca na oddech. A tam... tam w rękach cioci bieli się mała kartka, i rośnie rośnie w oczach.

Mama! Taka mała cicha kropelka wśród chmury szarego popiołu. Wuj przeciwko niemu i pan Kwiatkowski i nawet na ciocię niebardzo można liczyć, ale przecież jest Mama, kochana, droga Mama! Własna, rodzona, zbyszkowa!...

I chociaż się jest wodzem Komanczów, nie można połknąć twardego kłębuszka, który uwiązł w gardle i napędza piekące łzy pod powieki.

Ciocia mówi:

— Właśnie przyszedł list od mamy, w którym mama pyta się jak się uczysz. Zresztą przeczytam ten list głośno, bo on i pana się tyczy, panie Kwiatkowski.

Aha, aha! Przecież ktoś się ujął za Zbyszkiem. Mama napisała pewno panu Kwiatkowskiemu, że może sobie iść.. Tak, jak z panną Leonją.

— Kochany Wusiu!

Od tej nazwy oblało coś ciepłym strumieniem i coś boleśnie znanego wsączyło się w oczy: biały, wyłożony kołnierzyk... duże puste mieszkanie, ciche, śpiące popołudnie.

— Kochany Wusiu!

Długo nie pisałam do Ciebie, ponieważ zdrowie moje, po ostatniem przejściu, ciągle szwankowało. Obecnie czuję się nieco lepiej, więc piszę liścik do mego kochanego syneczka, zapytując czy słuchasz się wujostwa i twego nauczyciela,

oraz jak ci idzie nauka. Pamiętaj moje dziecko, że nauka...

Z oczu wypływają duże, bardzo ciężkie, ołowiane łzy, a reszta łez spada głucho do środka, na serce...

Więc i Mama..? i Mama!.. Coś zadudniło w uszach i resztę słów słyszy się jak przez watę:

— ...przyrzeknij mi więc, że weźmiesz się do nauki pilnie, uważnie i starannie...

— I Mama! i Mama!

A ciocia pyta się:

— Przyrzekasz?

Cóż na to można odpowiedzieć? Przecież nie może przyrzec, bo musiałby, jako prawy Komancz, dotrzymać obietnicy... Nie przyrzec nie może, bo — Mama... A wie doskonale, że nigdy, nigdy nie potrafi zrobić zadania na basen z trzema rurami, ani nie nauczy się skąd się liczy szerokość, a skąd długość geograficzna!

Więc chrząknąwszy z całej siły, aby głos z łez oczyścić, mówi Zbyszek:

— Spróbuję!

— No widzisz - mówi ciocia i całuje w głowę.

A podły, podstępny metys-pan Kwiatkowski korzysta z sytuacji:

— To może się wreszcie nauczysz wiadomości wstępnych z geografji i deklinacji polskich?

Jak on to podle zaznacza „wstępnych" i „polskich". O, nędzny metysie, zemsta cię ścigać będzie aż do grobu!

— Nauczę się!—mówi Zbyszek—I co jeszcze mama pisze?

— A to właśnie pana dotyczy, panie Kwiatkowski—mówi ciocia—matka Zbyszka prosi, żeby Zbyszek miał gimnastykę i żeby zbierał rośliny do zielnika. Jeśli naturalnie pan nic przeciwko temu...

Aha, zakłopotał się trochę metys! O, jak to prędko, skwapliwie mówi, jak się wykręca:

— Owszem, ja sam to właśnie... co do zielnika. Owszem, jestem sam zwolennikiem metod... Tak, hm... nowszych...

Tyle przynajmniej było przyjemności, ale zaraz metys zwraca się do młodego Komancza:

— Zaraz, od jutra zaczniesz zbierać rośliny. Będziesz zasuszał i zielnik... tego...

Musi to być coś mocno nieprzyjemnego, ten zielnik, kiedy metys tak odrazu się na to godzi. Zbyszek już z góry nienawidzi głupiego zielnika. Będzie to coś w rodzaju gramatyki, albo zadań o pociągu z A i B.

Ciocia i pan Kwiatkowski wyszli już, ale Zbyszek nie wyskakuje przez okno. Właściwie to na nic niema ochoty i wszystko mu jedno czy znajdzie się dobre drzewo na łuki. Jeżeli nawet Mama... nie, to jest naprawdę nie do wytrzymania! wszyscy się uwzięli, żeby się uczyć tych właśnie lekcyj i z tych książek. A wuj naprzykład ma dubeltówkę, to nie uczy z niej strzelać! I co ciekawe, że starsi wcale się nie uczą, nie mają lekcji!

— Pss, paniczu!

Głowa Józika wyjrzała w otwartem oknie.

— Co?

— Jest drzewo na łuk! Grusza...

— Grusza?

— Tak. Stelmach powiada, że najlepsza. Tylko jeszcze struny...

— Struny najlepiej z dratwy. Plecie się i smaruje woskiem.

— Ba, ale skąd dratwa?

— A w spichlerzu, do worków?

— Prawda!

Łuki były gotowe jeszcze przed wieczorem. Ale co to były za łuki! Ledwo, że można było odciągnąć, a kiedy się odciągnęło, to strzały nie było widać w górze. To były łuki! Tylko, że cięciwa trochę biła po ręku, aż się robiła czerwona plama, ale ostatecznie Komancze są wytrzymali na ból.

Strzały naturalnie były zakończone gwoździami, a na oszczepy kowal miał zrobić ostrza ze starych wideł. Gdyby jeszcze można było dostać tomahawki!

— No, Józik... to jest... mój szlachetny bracie, teraz musimy się odznaczyć koniecznie.

— A no, musimy!

W pełnem uzbrojeniu siedli Komancze w wigwamie na naradę. Cóż, kiedy wszystko tak jest teraz głupio urządzone, że nie można mieć żadnej przygody.

— A prawda! Przecież nasze polowanie.

— A no, juści. Tata mówił, że tam są dziki, w tem lesie.

— To nad Czarnym Stawem?

— Tak. Panicz tam nie był?

— Nie. Ale to nic: dam sobie radę!

Naturalnie, że da sobie radę. Także! W tem właśnie cała przyjemność, żeby odkrywać nieznane puszcze. Każdy Komancz...

— A puszczą to panicza na noc?

— Przedewszytkiem nie będą się pytał, a podrugie nie żadne „paniczu" tylko „mój bracie". Zawsze zapominasz...

— Będę pamiętał.

— A pamiętaj: zaszczekaj trzy razy, jak kujot.

— To... niby... jak pies?

— No, właściwie... dosyć podobnie.

Po tej ważnej decyzji Zbyszek, czuje wielką radość. Bo to nie jest dziecinna zabawka, taka wyprawa! Tam będą przecież prawdziwe niebezpieczeństwa.

I Zbyszek wie doskonale i czuje, że taka wyprawa jest sto razy ważniejszą od wyuczonej lekcji. Ostatecznie dostać dwójkę to nie jest żaden wstyd, nawet jakoś nie bardzo wypada, żeby dzielny Komancz słuchał się jakiegoś tam nauczyciela i bał się dwójki: niech stawia, wielka rzecz! Ale stchórzenie, albo niedołęstwo, albo nieumiejętność strzelania z łuku—to jest wstyd ogromny!

Naraz... szczekanie kajóta! Szybkim ruchem zsunął się z okna młody Komancz i znikł w ciemności, ogarniającej prerję.

Noc spędzona w obcym, nieznanym lesie, wród dziwnych szmerów i oczekiwania przygód— czy można wymarzyć coś piękniejszego?

I chociaż żaden się właściwie nie odznaczył, ani nic nie upolowali, ale ta noc nie była bez znaczenia, o nie! Nauczyli się rozumieć tysiączne szepty nocne i przestali ich bać, choć z początku serce im biło, przy trzaśnięciu każdej gałązki. Rozeszli się zaraz na skraju lasu w różne strony, żeby było trudniej, niebezpieczniej.

Las szumiał nad głową groźnie i ponuro, szeleściał podstępnie pod nogami, od Czarnego Stawu szedł wilgotny dreszcz i niepokojące rechotanie żab i mimo to wszystko—szło się.

„Szło się". To takie proste niby, że chcąc dojść—trzeba iść. Ale trzeba samemu dopiero... „Szło się"!—tak krótko mówi do siebie Zbyszek. I teraz rozpamiętywa to wszystko, stojąc w gabinecie wuja. Tymczasem wuj chodzi tylko wielkimi krokami, ale naturalnie zaraz się zacznie „z cicha pęk" i „zbijanie bąków" i inne tam... Całe szczęście, że kiedy wuj go spotkał, broń była już w wigwamie. Z początku było trochę strasznie, kiedy wuj wziął go mocno za rękę i nic nie mówiąc, zaprowadził do gabinetu, ale teraz Zbyszek już postanowił sobie, że się nie będzie bać.

— Słuchaj-no, pau brodzieju, gdziesz ty latasz, co? — powiedział naraz wuj stając tuż przed Zbyszkiem. Ale głos wuja był dziwnie łagodny tak, że wszystko się pomyliło, co Zbyszek przygotowywał na odpowiedź.

— Tak sobie... było ładnie, więc tego...

— Słuchaj-no chłopcze! wiesz przecie pau brodzieju, że ci źle nie życzę, co? Czyż to nie wstyd, pau brodzieju, żeby taki duży chłopak latał gdzieś, pau brodzieju, po nocach, co? Jeśli chcesz wyrosnąć na pociechę matce, pau brodzieju. Pan Kwiatkowski się skarży, że coraz gorzej... A nawet, pau brodzieju, bardzo się stawiasz...

Zbyszek myślał, że wuj naprawdę chce się z nim rozmówić poważnie, więc chciał wytłomaczyć wszystko wujowi:

— Nie, tylko widzi wuj, te lekcje są zupełnie niepotrzebne. I ja nigdy nie potrafię się nauczyć, bo to wszystko jakieś zupełnie inne i... i strasznie głupie...

— Jakto głupie? — powiedział już tak głośno jak zwykle wuj. — Skoro cię uczą, to znaczy, że są mądre i potrzebne! Nie twoja rzecz mędrkować. Widzicie go, jaki mi krytyk, pau brodzieju, filozof!

Nie opłaciło się dalej rozmawiać z wujem, choć było przecież masa dowodów. Jeszcze huczało: jak się nie poprawisz... ja ci pokażę... inaczej się zabiorę...

Wreszcie Zbyszek mógł wyjść z gabinetu.

Z rozchylonej gęstwiny dzikiego wina, ostrożnie wyjrzała twarz Józka:

— Paniczu, dziedzic wykrzyczał panicza?

— E, tam!... Ciągle to samo: o lekcjach, żeby się uczyć i tak dalej. A taka Skórzana Pończocha to się z pewnością nie uczył tego wszystkiego, a jaki był, co?

— Ale! Pod tym blockhausem. Apasze i tu i tam, a on ino smyrg!.. Albo z temi mustanami.

— Mustangami — poprawia Zbyszek i zaraz przychodzi mu na myśl stadnina. Przecież stadnina może być doskonale tabunem mustangów i ten kto ujeździ mustanga...

Józik odrazu się zgadza i mówi:

— To już jakbym wiedział, że ja będę Wielkim Jastrzębiem!

Zbyszek patrzy z niechęcią na Józka: nie zdaje mu się, żeby on mógł być dobrym Komanczem. A jeszcze Wielkim Jastrzębiem!

— Zobaczymy!

— Zobaczymy!

Za chwilę stali przed płotem.

Zbyszek odrazu powiedział, że on naprzód spróbuje: jeździł już przecie i na Sołtysce i na siwkach.. A zresztą jest teraz Wielkim Jastrzębiem i niema dla niego rzeczy trudnej.

Konie podeszły blisko płotu, spodziewając się pewno poczęstunku. Stały w zbitej gromadzie, nastawiając czujnie uszy. Zupełnie jak mustangi! A więc!..

Zbyszek złapał najbliższą płotu kasztankę za kłąb jedną ręką, za grzywę drugą, przełożył nogę przez płot i siadł. Kasztanka chrapnęła niespokojnie i obejrzała się. Była widać bardzo zdziwiona i nie wiedziała, co począć, więc dreptała tylko na miejscu.

Zbyszek czuł, że pobladł nieco, ale nie pu-

szczał grzywy i bosemi nogami ściskał ciepłe ciało.

Nagle kasztanka skoczyła, jak oparzona, podniosła się na tylne nogi, poczem gwałtownie wierzgnęła. Zbyszek czuł, że traci oparcie i pada w jakąś przepaść. W błyskawicznej chwili gdy najdował się w powietrzu, mignęła mu postać Józika stojącego z ostrym prętem wzniesionym do zamachu. Później zrobiło mu się ciemno, jakieś koła czerwone i złote przeleciały mu przed oczami i — nic, pustka...

Kiedy ocknął się za chwilę, nie mógł zrozumieć gdzie jest i co się z nim dzieje. Leżał w łopianach między płotem a ścianą stajni. Obejrzał się, szukając Józika i nagle ostre, bolesne przypomnienie przeszyło go na wskroś: „Józik zdradził: zaciął kasztankę prętem!..."

Po chwili, kiedy w głowie przestało trochę szumieć, Zbyszek uniósł się i zbierał się do odejścia. Wtem ciało jego przebiegł kłójący, do środka głowy sięgający ból i w nodze zaczęło rwać za każdym uderzeniem pulsu. Dotknął nogi w kostce; była dziwnie zgrubiała i gorąca.

Zbyszek siedział teraz i namyślał się co zrobić; najgorzej, że nie przypomniał sobie podobnego wypadku z przygód wielkiego Jastrzębia... Aha, prawda, jak Sokole Oko był ranny przez tego podłego metysa, to doczołgał się o kiju do pieczary... (oj, jak ta noga boli!) Uchwyciwszy się za płot, Zbyszek dźwignął się, sycząc z bólu

i zaczął posuwać się ku domowi. Po drodze znalazł jakiś kij.

Chwytając się za drzewa opierając się na kiju i przysiadając dla odpoczynku co kilka kroków, Zbyszek posuwał się powoli ku dworowi, jęcząc o ile możności, najciszej.

Tak doszedł do okna swojego pokoju i chciał wdrapać się przez nie, ale nie miał sił. Siadł więc pod oknem na ziemi i jęknął głośniej.

— Jezus Marja! Co paniczowi?—usłyszał nad sobą głos kucharki — O laboga! Proszę pani!

— Co takiego? O Boże! Zbyszku, co ci? — ciocia biegła do niego z ganku wycierając ręce o fartuch. We dwie podjęły Zbyszka na ręce i zaniosły do jego pokoiku. Noga bolała otrutnie, ale Zbyszek starał się nie płakać, wobec pielęgnujących go „niewiast plemienia“.

Zjawił się Andrzej wezwany przez ciotkę do nastawiania.

— Nic, nic, niech się panicz nie boi — uspakajał Andrzej — paniczowi Stefanowi, to musi ze dwa razy nastawiałem i dobrze. To je mężczyńska rzec.

— Aaj! Ooo!—zawył nagle Zbyszek i złapał Andrzeja za ręce — Oj! boli!..

— Już, już, po wszyćkiem! Już nastawione— uśmiechał się Andrzej — tera ino okłady z gulardowa trza robić.

Zbyszek, leżał, jęcząc słabo, a ciocia, kucharka i Andrzej kręcili się koło niego, przygotowując okłady.

— Cóż to takiego?—zahuczał nagle bas wuja ode drzwi.

— Ach, Władeczku, Zbyszek nogę zwichnął...

— Jakto? Jakim sposobem?

— A prawda... Jak to sobie zrobiłeś Zbyszku?

Już miał Zbyszek opowiedzieć o zdradzie Józika, ale na szczęście powstrzymał się w porę. Powiedział tylko:

— Spadłem z konia...

— Andrzej, pewno cię wsadził, co?—groźnie spytał wuj.

— Nie...

— Mów całą prawdę! A może kto postraszył konia?

— Nie...

— A z kim byłeś?

— Sam...

— Czuję, że kłamiesz pau brodzieju — wołał wuj—mów zaraz...

— Ależ, Władeczku, przecież on chory!—łagodziła ciocia.

— A... hm, tak... uparty gagatek — mruknął wuj i wyszedł.

— Paniczu, to pewnie bez tego huncfota, Józika? — spytał cicho Andrzej. — Już ja mu tam spuszczę lanie!

— Mówię przecież, że ja sam — wybuchnął Zbyszek, nie mogąc już dłużej wstrzymać łez i krzyku.

— Ależ, dobrze, dobrze! Już cicho, Zbyszku, cicho: leż spokojnie — uspakajała go ciocia. —

Chodźcie Andrzeju i Małgorzata niech idzie, może panicz zaśnie...

. . . .

Zbyszek wie dobrze, że nie jest źle trochę pochorować. Dostaje się potrawkę z kury, kompot i suszone śliwki. Wtedy wszyscy są bardzo dobrzy, wuj nie krzyczy (nawet posiedział na łóżku i pogłaskał Zbyszka po głowie), a co najważniejsze można czytać przygody i metys nie przychodzi na lekcje.

Zbyszek nie chce nawet myśleć, że kiedyś się to skończy i przyjdzie metys.

— Chyba wypadnie uciec gdzie do lasu, gdyby znów się to zaczęło.

Tak, to byłoby nawet ładnie... Zbudowaliby sobie z Józikiem blockhaus na polanie (na „Wilczej polanie"!), polowaliby, łapali ryby i mieliby przygody. To byłoby wspaniale. Tylko, że ten Józik... już teraz nie może na niego liczyć — zdradził. Przez niego Zbyszek nie mógł się odznaczyć i zostać Wielkim Jastrzębiem...

Swoją drogą, niechby już ten Józik przyszedł.. Samemu to strasznie nudno. Dziwne, jak Zbyszek w mieście tak bez nikogo mógł wytrzymać. Naprzykład tajemnica jest dopiero wtedy prawdziwą tajemnicą, kiedy się jest we dwuch.

Nie, towarzysz jest wprost konieczny!

Teraz naprzykład; Zbyszek znalazł wspaniałą książkę.

O młodym wygnańcu i o indjanach a nie chce mu się samemu czytać: przejrzał tylko obrazki...

— Wielki Jastrzębiu! — szepnął ktoś w oknie.

— Kto to? Co? — drgnął Zbyszek.

Przez okno wsunęła się szybko głowa, potem cała postać. Józik przypadł do łóżka:

— Paniczu, ja.. ja po świńsku zrobiłem.. ale niech się panicz nie gniewa... Tata mi pedzieli, że panicz nie naskarżył na mnie, to ja...

Chce Zbyszek powiedzieć coś wzniosłego swojemu szlachetnemu bratu, jak to zawsze robili wodzowie Komanczów w takich chwilach ale mówi tylko:

— No... no to — „sztama"!

— Sztama! — Ściskają sobie ręce.

Ale Józik jeszcze ma coś do powiedzenia:

— I niech już panicz będzie Wielkim Jastrzębiem...

— No... ale.. przecież nie ujeździłem mustanga — broni się słabo Zbyszek.

— Ale panicz nie naskarżył na mnie i... i niech już tak będzie.. Ja sobie tak umyśliłem... Zbyszek nie sprzeciwia się już, bo obaj czują dobrze, że tak będzie sprawiedliwie.

— A ty będziesz „Sokolim Okiem" — pociesza go Zbyszek — On też był bardzo dzielny. Przypomina się więc wszystkie czyny „Sokolego Oka" i okazuje się, że to był też zuch nie lada.

Wielki Jastrząb i Sokole Oko po wielu naradach w wigwamie przyszli do przekonania, że trzeba stworzyć plemię, naturalnie plemię Komanczów.

Stanowczo dwuch wojowników to za mało, żeby się działy jakieś przygody, chodzi tylko o to skąd wziąć więcej.

Sokole Oko powiedział jednak, że znajdzie na to radę: można będzie wziąć Antka, syna karbowego i kowalowego Wacka. Nie jest to dużo, ale już można myśleć o założeniu plemienia.

— Dobrze — zgodził się Wielki Jastrząb — chodzi tylko o to, żeby nie zdradzili!

— Już ja im nagadam do słuchu! — powiedział na to Sokole Oko i rzeczywiście, kiedy przyprowadził nowych wojowników do wigwamu, obaj trzęśli się ze strachu. Wielki Jastrząb powiedział:

— Niech moi młodzi bracia spoczną bez obawy, w gościnnym namiocie Komanczów.

A Sokole Oko dodał:

— Ady, siadaj jeden z drugim, gamajdy.

Wojownicy usiedli, a Wielki Jastrząb otworzył już książkę, kiedy przypomniał sobie o przysiędze:

— Naprzód musicie przysiądz, że nikomu nie zdradzicie ani słowem nic z tego...

Obaj przysięgli:

— Jak Bozię kocham.

Ale Wielki Jastrząb nie był zupełnie zadowolony:

— Musicie przysięgnąć na grzywę mustanga i cięciwę łuku — powiedział.

Wacek od kowala uparł się, że nie, bo to grzech i musieli mu pozwolić na zmianę przysięgi:

— Żeby mnie tak Matka Boska pokarała cięciwą od łuku.

I tak był blady kiedy to mówił, że nawet przeżegnał się.

Antek powiedział, że on i tak nie piśnie, ale może się przysięgnąć na tę grzywę i łuk.

Potem wszyscy usiedli i zaczęło się czytanie. Wielki Jastrząb umiał już prawie na pamięć, więc czytał prędko i tylko od czasu do czasu obaj z Sokolim Okiem tłomaczyli młodym wojownikom zwyczaje Komanczów, lub niezrozumiałe nazwy.

— Mustangi to są jendjańskie konie — mówił Sokole Oko — żebyśta se to dobrze zapamiętali!

albo:

— Tomahawek to je jendjańska siekiera. Żebym wam drugi raz nie mówił, no!

Wielki Jastrząb starał się zachęcić i ośmielić młodych wojowników. Mówił im:

— Komancze muszą być odważni i oni nigdy nie kłamią, rozumiecie? I zawsze umieją wyjść z niebezpieczeństwa i są strasznie dzielni.

Po przeczytaniu książki Antek odrazu powiedział, że chce być Komanczem i że też może sobie wyrżnąć na skórze takie zakrętasy jak indjany, ale Wacek trochę się bał, więc go chcieli wyrzucić z wigwamu, ale on też się zgodził, tylko, żeby bez drapania skóry.

Wtedy powiedzieli im wszystkie tajemnice plemienia: że mają łuki i oszczepy, że pod wigwamem jest piwnica i że hasłem jest trzykrotne szczekanie kujota. Obiecali także i im łuki i oszczepy. Potem dali nowym wojownikom ugryźć marchew i sami ugryźli — to była fajka pokoju.

Ale Wielki Jastrząb był czegoś niezadowolony, myślał chwilę, a potem wywołał Sokole Oko za wigwam i powiedział:

— Słuchaj, mój dzielny bracie! Właściwie to wstyd, że do tej pory nie mamy tato... tatuowania. Pomyślałem sobie o tem, jak Antek mówił, że on może sobie zrobić...

Sokole Oko trochę się wahał, ale kiedy Wielki Jastrząb powiedział mu, że tylko tchórz może chodzić bez tatuowania — zgodził się także.

— Tylko skąd wziąć farby? — martwił się Wielki Jastrząb.

— A poco farba? I tak będzie czerwone... z krwi! — powiedział Sokole Oko.

— Prawda, że to krew się pokaże... Tak trochę nieprzyjemnie. Wielki Jastrząb namyślał się chwilę czy nie pomalować poprostu skóry farbą, ale zaraz zawstydził się tego.

Wrócili więc do wigwamu i wyjąwszy cyganki, zaczęli w oczach młodych wojowników drapać sobie skórę na lewej ręce, odwinąwszy trochę rękaw.

— Ale... ale co drapać? — zasyczał Sokole Oko.

— Jakto co? — spytał Wielki Jastrząb, nie patrząc na krew, która już wystąpiła wąziutką nitką.

— No... niby... w jaki deseń?

— Aha, prawda! No... można naprzykład łuk ze strzałą.

Wacek chciał beczeć, ale powiedzieli mu, że nie ma czego, bo przecież pozwolili mu nie mieć tatuowania, a jak będzie beczeć, to może kogoś ściągnąć, więc niech będzie cicho, bo dostanie w łeb.

Antek powiedział, że on też sobie wytnie, więc Wielki Jastrząb naradził się z Sokolim Okiem czy Antek nie mógłby być Szybkim Jeleniem i przyszli do przekonania, że owszem. Za to Wacka nazwali Chwiejną Trzciną, aż się nie poprawi i nie przestanie być mazgajem.

Potem powiedzieli im, że muszą mówić „mój

dzielny bracie" albo „mój szlachetny bracie" i od czasu do czasu wołać: „Hugh!" i „Pshaw!"

Potem zaczęła się nowa robota, bo trzeba było się wystarać o łuki i oszczepy dla nowych wojowników, a kowal nie mógł przecież wiedzieć, że i jego Wacek jest w plemieniu. A czekała jeszcze nauka strzelania, w której wodzowie Komanczów już celowali, a nowi wojownicy musieli się uczyć od początku.

Dobrze przynajmniej, że podły metys wyjechał za jakiemiś interesami i Wielki Jastrząb mógł zająć się poważnemi sprawami, nie tracąc czasu na lekcje.

Być może nawet, że metys już nie wróci?

W każdym razie trzeba korzystać z czasu! więc chociaż Wacek krzywi się, że mu się starła ręka od cięciwy, musi strzelać — tak zresztą jak i wszyscy — do butelki ustawionej na kamieniu i zawieszonej na sznurku u gałęzi.

Za to Szybki Jeleń jest pociechą wodzów: strzela tak prawie jak oni i trzyma się zwyczajów plemienia: za każdą strzałą krzyczy „Hugh!" i co drugie słowo mówi „mój dzielny bracie".

Kiedy już młodzi wojownicy jako tako się wprawili — postanowiono dalszą wyprawę. Cóż to znaczy chodzić do Wielkiego Dębu w końcu ogrodu, w chmiel za ogrodem, albo nawet do lasu? Teraz plemię wyprawi się w dalszą podróż, w której las będzie tylko pierwszym noclegiem. Albo zagłębią się w sam środek lasu i tam założą stały obóz — kto wie?

W każdym razie do takiej wyprawy trzeba się dobrze przygotować: przedewszystkiem suchary. Wogóle żadna wyprawa nie ma sensu, jeśli się odbywa bez sucharów. Dostawcą sucharów jest Wielki Jastrząb, który po cichu piecze zaoszczędzony chleb w piecyku, w kuchni. Inni wojownicy zdobywali głównie marchew, rzepę i kalarepę.

Kiedyś, gdy właśnie naradzali się nad wyprawą, Chwiejna Trzcina powiedział:

— Ino, aby się potem wrócić do domu!

Więc Wielki Jastrząb powiedział surowo:

— Niech moi dzielni bracia pamiętają, że wyprawa nasza będzie trwać całe lato, że będziemy przechodzić pustynie, spotykać się z dzikiemi zwierzętami i wogóle będzie dużo przygód.

Chwiejna Trzcina siedział już teraz cicho i bał się odzywać. A Wielki Jastrząb dodał jeszcze:

— Próbowaliśmy swojej wytrzymałości na ból a teraz musimy nauczyć się znosić głód. Dlatego przez jutrzejszy dzień nie będziemy nic a nic jeść. W ostateczności można udać chorego, jakby kazali.

Więc nie jedli nic przez cały dzień, chociaż Chwiejna Trzcina był niepewny, bo mu się odbijało. Ale on mówił, że to z głodu.

Przygotowania więc były poważne!

Właśnie Wielki Jastrząb niósł worek z sucharami do wigwamu, kiedy ujrzał na ganku podłego metysa.

Wielki Jastrząb skamieniał.

Metys — pan Kwiatkowski jest taki sam jak zawsze. Jest strasznie, rozpaczliwie jednakowy. Zdaje się, że jest wycięty z poplamionej bibuły, a w ustach ma pełno słów ze starych, nudnych książek.

Ale Wielki Jastrząb nie podda się teraz tak łatwo: podrzuca worek z sucharami i chce biedz dalej.

Metys patrzy nad okularami i mówi:

— Nooo?

— Co?

— Hm. Jeszcze się pytasz? Czego nie idziesz na lekcję.

— Ja idę...

— Dlaczego kłamiesz?

— Ja nie kłamię! Ja nigdy nie kłamię!

Podły metys! Nie daje skończyć, a potem się przyczepia. A teraz, aż pęka ze złości:

— Co?.. co?.. podnosisz głos jeszcze?.. Marsz na lekcję!

Wielki Jastrząb zrozumiał, że to jest chwila bardzo ważna: albo podda się i stanie się znowu małym chłopcem, siedzącym przy poplamionej bibule, albo raz skończy z tem wszystkiem i zostanie wielkim myśliwym i podróżnikiem.

Wielki Jastrząb poczuł w sobie wielką, spokojną siłę i powiedział:

— Nie pójdę na lekcję.

—Aas, to tak? Zaraz do wuja...

Czerwona twarz wuja zjawiła się w ganku jak na zawołanie:

— Co ten gagatek wyprawia?

Metys krzyczał:

— Mówi, że nie pójdzie na lekcję!

Twarz wuja była coraz czerwieńsza i widać było, że teraz już nawet poddanie się nie pomoże. Ale Wielki Jastrząb nie myślał o poddaniu, krzyknął tylko patrząc na nich obu, dużych i stojących wysoko na ganku:

— Nie pójdę! Nie będę się uczył! Nie będę się już nigdy, wcale uczył! wcale! niczego Ani arytmetyki, ani gramatyki — ani nic!

A gdy zauważył jakiś ruch metysa, krzyknął jeszcze:

— I już tu nie wrócę! — poczem puścił się „jak rozhukany mustang po niezmierzonych prerjach".

Słyszy jeszcze Wielki Jastrząb za sobą głosy.

— Niech-że go pan zatrzyma, panie Kwiatkowski!

— Wracaj natychmiast bo...

Obejrzał się jeszcze i zobaczył śmieszne wysiłki nędznego metysa. On nawet biegać nie umiał!

Wielki Jastrząb zdążył jeszcze przebiedz koło czworaków i zaszczekać trzykrotnie, potem puścił się pędem w stronę chmielu i przedostawszy się znajomą dziurą w parkanie, wpełzł cicho do wigwamu.

Za chwilę zaszeleściały krzaki i ukazała się głowa Sokolego Oka:

— Szukają panicza! — zaszeptał.

— Sokole Oko!

— To... chciałem powiedzieć: szukają cię, Wielki Jastrzębiu.

— Niech szukają! Podły metys i inni wrogowie nie odnajdą wigwamu Komanczów.

— Jeszcze czego! Nawet ogrodnik nie wie:

Po chwili zjawił się Szybki Jeleń:

— A, tuście dzielni bracia? Bo tam szukają. Wielkiego Jastrzębia.

— Wiemy! Wiemy już!

— Do miasta posłali.

— Hi, hi, hi.

— Ale czego to Chwiejna Trzcina nie przychodzi?

— E, to niedojda!

— Żeby nie zdradził tylko podły Apasz!

— Już my mu tam!...

To było najprzyjemniejsze, że to już jest przygoda. Złożono teraz naradę i naprawdę trzeba było radzić. Wielki Jastrząb był bardzo zadowolony i wydał rozkazy. Plemię miało się stawić z bronią, oraz zdobyć zapasy i narzędzia.

— Siekieraby się przydała.. Chciałem mówić — tomahawek.

— Naturalnie. I nóż. Szkoda, że niema składanego.

— I zapałki i sznur..

— Kołdrę z mojego łóżka trzeba przez okno zdobyć...

— I goździ...

— I ze dwa worki..

— Więc pamiętajcie! Jak tylko się dobrze ściemni!

— Hugh! Zrobi się mój dzielny bracie.

— A nie będzie paniczowi zimno tutaj?

— Sokole Oko!

— Dowidzenia, Wielki Jastrzębiu!

Kiedy już Wielki Jastrząb drżał cały z chłodu i niecierpliwości, zjawiło się wreszcie całe plemię, bo i Chwiejna Trzcina wystraszony i blizki babskiego płaczu, odważył się na wyprawę.

Rozdzieliwszy zapasy i narzędzia, plemię ruszyło po cichu w stronę lasu. Całą drogę trwało uroczyste milczenie, słychać było tylko sapanie Chwiejnej Trzciny, który wlókł się na końcu.

Dopiero kiedy objął ich wilgotny, tajemniczy mrok lasu, Wielki Jastząb szepnął:

— Wspaniale, co?

— Aha!

Wszyscy szeptali, bo i las był dziwny bardzo i zresztą w ważnych i niebezpiecznych chwilach zawsze się szepcze.

Trzasnęły im pod nogami gałęzie i zaczęli iść ostrożniej, wymijając ciemniejące niewyraźnie pnie drzew.

— Wielki Jastrzębiu, może już tu?

— Nie! nie! Musimy dalej, jeszcze dalej, żeby nas nie znaleźli!

I szli dalej, przedzierając się przez gęstwiny i kierując stale w stronę, przeciwną od dworu.

Ale wreszcie Chwiejna Trzcina zaczął jęczeć i musieli się zatrzymać. Było już pewno bardzo późno, chciało się spać i bolały nogi. Ułożyli się więc byle jak na workach z zapasami, okrywszy się wspólnie jedną kołdrą.

Obudził ich chłód ranny, który przejmował coraz dotkliwiej że chciało się wtulić w samego siebie. Powoli jednak powysadzali głowy z pod kołdry i rozglądali się po okolicy.

— Polana! — ziewnął Sokole Oko.

— Nazwiemy ją Polana Komanczów — powiedział Wielki Jastrząb i wszyscy się zgodzili, że to będzie najlepsze.

Chwiejna Trzcina odrazu dopomniał się o jedzenie i to im przypomniało o zapasach.

— Nasze „zapasy"! Doskonale!

Doprawdy nic tak nie smakuje, jak podróżnicze suchary, przewiędła trochę kalarepa i same ziemniaki z solą.

— O, patrzcie, tu jest woda! — zrobił odkrycie Sokole Oko a Wielki Jastrząb zaraz dodał:

— To będzie się nazywać „Źródło Podróżników".

Nazwę przyjęto, a woda ze Źródła Podróżników smakowała Komanczom nadzwyczajnie.

Potem zabrano się do budowy wigwamu. Miejsce wybrano według wszelkich wymagań i zwyczajów myśliwskich Dzikiego Zachodu Ameryki. A więc w gąszczu leszczyny, niedaleko źródła, w miejscu ukrytem dla oczu wroga, a pozwalającem widzieć całą polanę. To tylko przesz-

kadzało, że nie było narzędzi, bo był tylko jeden kuchenny nóż zdobyty przez Sokole Oko i stara motyka.

Ale mimo to budowa posuwała się naprzód, i już koło południa stało się coś w rodzaju rusztowania, na które zaczęto znosić wszystko, co się nadawało na pokrycie. Tak, że pod wieczór, w gąszczu stał wspaniały wigwam, — otworem zwrócony w stronę polany. Przed wigwamem, na polanie rozpalono ognisko, w którem piekły się kartofle.

Jeszcze poprawiono coś nie ccś w wigwamie, dorzucono trawy lub paproci, ale robiono to tylko dla tego żeby dłużej budować. Bo czyż może być coś przyjemniejszego!

Pomyślcie tylko — przecież żyje się już prawie tak, jak ci wszyscy bohaterowie z książek: sami, wśród lasu i wśród niebezpieczeństw. (na które czeka się niecierpliwie) Dziś jeszcze zjedzą kartofle, a jutro — na polowanie!

Przysypali ogień popiołem, że ledwo tlił, przygotowali duże polana na opał (dla odpędzenia dzikich zwierząt) i zawinęli się w kołdrę.

Pierwsza noc we własnym, przez siebie zbudowanym wigwamie w lesie, w oczekiwaniu na przygody, to przecie coś wpaniałego!

Tak ją spędzili: Wielki Jastrząb, Sokole Oko Szybki Jeleń i pogodzony z losem Chwiejna Trzcina. Dzielne plemię Komanczów.

Koło pónocy ktoś zaczął tarmosić Wielkiego Jastrzębia.

— Kto? czego? — opędzał się Wielki Jastrząb, wciskając się uparcie w sen.

— Paniczu, ktośeik idzie!

Wielki Jastrząb odrazu oprzytomniał:

— Co mówi mój dzielny brat?

— Ady mój dzielny bracie, idzie ktoś! — szeptał Sokole Oko.

Szybki Jeleń i Chwiejna Trzcina zbudzili się także i wszyscy nastawili uszu. Tak, napewno ktoś szedł. Człowiek, a może zwierzę?

Plemię patrzyło na Wielkiego Jastrzębia, który najlepiej wiedział jak się postępuje w różnych przygodach i Wielki Jastrząb zrozumiał, że musi coś zarządzić. Naraz błysnęło mu: „Metys“ i w tej chwili rozkazał.

Ostrożnemi, cichemi ruchami wyciągnęli swoje łuki i założyli strzały.

— To metys — szeptał Wielki Jastrząb — Odkrył nas, ale nie ujdzie stąd żywy! Naciągać!

Odciągnęli cięciwy z całej siły i mierząc w stronę szelestu wypuścili strzały. Szelest ucichł na chwilę, ale potem rozległ się jeszcze wyraźniej i na tle ciemnej polany, można było już dojrzeć jeszcze ciemniejszą postać.

— Jeszcze raz! — syczał Wielki Jastrząb i znowu brzęknęły cięciwy.

Postać zatrzymała się i wysuwała coś białego w kierunku wigwamu. Strzelili jeszcze raz, wtedy odezwał się w ciemności spokojny głos:

— Hola! Nie widzicie białej chustki? Przychodzę jako przyjaciel.

Wszyscy wojownicy wytężali oczy w kierunku mówiącego, ale zaledwie tyle zrozumieli, że jest to mężczyzna średniego wzrostu, trzymający białą chustkę na gałązce. Na szczęście głos jego nie był głosem metysa.

— Co teraz! co robić? — pytali się wojownicy Wielkiego Jastrzębia. Ale Wielki Jastrząb sam był w kłopocie: oczywiście strzelać nie można, bo ma białą chorągiew, ale co dalej się robi w takim wypadku? Chyba zapytać kto to? I Wielki Jastrząb krzyknął bardzo grubo:

— A kto to?

— Proszę o nocleg i posiłek! — odpowiedział głos z ciemności.

— Paniczu, puścić go chyba?

— Zaraz, zaraz, moi dzielni bracia, niech naprzód przysięgnie, że nie zdradzi.

I wszyscy zawołali:

— Przysięgnij, że nikomu nie zdradzisz!

— Daję słowo — przyszła poważna odpowiedź.

— No.. to.. proszę przyjść—powiedział Wielki Jastrząb i rzucił kilka gałązek na żar. W świetle rozpalającego sią ogniska, nieznajomy zbliżał się powoli:

— Strzelbę ma — szepnął Sokole Oko.

— I psa — dodał Szybki Jeleń.

— Witajcie! — powiedział człowiek podchodząc do ogniska.

— Witajcie! — odpowiedział Sokole Oko.

Nieznajomy miał kapelusz z dużem rondem

taki, jak noszą cow-boye, pas z ładunkami, pończochy i trzewiki. Wogóle nie był dodobny do zwyczajnego dorosłego.

Teraz otworzył strzelbę, wyjął z niej ładunki i powiesił ją na drzewie. Pies położył się obok niego.

Sokole Oko włożył w żar kilka kartofli i wszyscy milcząc przypatrywali się nieznajomemu, a on im, wreszcie powiedział:

— Zdaje mi się, że jesteście tymi, których szukam.

Wielki Jastrząb zaniepokoił się:

— Jakto? Więc.. pan nas szuka? Czy pana wysłał...

— Nikt mie nie wysłał. Zresztą dałem przecież słowo.

— No, tak. Prawda — uspokoił się Wielki Jastrząb — Ale po co..

— Po co was szukam? Zaraz powiem, ale pozwólcie mi przedtem coś przegryźć. Kartofle już zdaje się gotowe?

Nieznajomy jadł, a Komancze nic nie mówiąc trącali się łokciami: nareszcie mieli przygodę.

Nieznajomy zjadł i powiedział:

— Przyszedłem wam pomódz. Możecie się mnie nie bać, który z was jest Zbyszek, pewno ty?

— Taak, ja — niepewnie przyznał się Wielki Jastrząb.

— Jestem bratem twojej mamy.

— Aa, wuj—powiedział Wielki Jastrząb z rozczarowaniem i spojrzał nieufnie.

Wuj rzucił na niego okiem i spytał:

— Czy macie jakie przezwiska?

— Tak! Mamy! Naturalnie! — odpowiedziel chórem i zaraz wymieniali — Wielki Jastrząb, Sokole Oko...

— Aha—powiedział wuj—wodzowie Komanczów. Dobrze.

Wielki Jastrząb spojrzał na niego ze strasznem zdziwieniem i nie mógł wytrzymać, żeby nie szepnąć swoim dzielnym braciom:

— Wie!

Dzielni bracia kiwnęli głowami.

— Mnie nazywają zwykle Szary Orzeł i tak mnie nazywajcie. A pies mój nazywa się Traf, bo znalazłem go dziwnym trafem, który wam kiedy opowiem.

Traf słysząc, że o nim mowa, podniósł łeb z ziemi, a potem usiadł, mrużąc skośne oczy.

— Traf podaj łapę, przywitaj się! — powiedział Szary Orzeł i Traf podał kolejno łapę wszystkim czterem Komanczom.

A Szary Orzeł mówił dalej:

— Czy chcecie zawrzeć ze mną przymierze i razem mieszkać w lesie?

— Naturalnie! Juści! Chcemy! — krzyknęli Komancze bez narady nawet.

Wielki Jastrząb jednak miał jeszcze pewne podejrzenia:

— Ale ja nie wrócę do dworu i nie będę się uczył! — ostrzegł.

— Tak nie lubisz się uczyć?

— Nienawidzę! i nigdy...

— Nie bój się Wielki Jastrzębiu, nie będę cię namawiał do powrotu. Chcę wam tylko pomódz. Ponieważ dużo podróżowałem, polowałem i miałem różne przygody, będę wam mógł czasem poradzić, bo z początku może wam być trudno. Czy przyjmujecie mnie?

— Przyjmujemy! To się wie!

A Wielki Jastrząb zwrócił się do reszty wojowników i powiedział uroczyście:

— Czy moi dzielni bracia zgadzają się, żeby Szary Orzeł był naszym wodzem?

Plemię zgodziło się z zapałem a Szary Orzeł powiedział poważnie:

— Dobrze, przyjmuję ten wybór. Ale pamiętajcie, że wodzowi plemienia winniście posłuszeństwo. Inaczej nie zostaniecie nigdy dzielnymi wojownikami. Więc zgoda?

Plemię znowu krzyknęło chórem, że zgoda.

— A co... wujostwo? — chciał już wszystko wyjaśnić Wielki Jastrząb.

— To już załatwione — powiedział Szary Orzeł — Tylko pod tym warunkiem obiecałem was odszukać, że wszyscy tu razem zostaniemy. Mówiłem też z kowalem, Andrzejem i karbowym. To już załatwione.

Komancze nie chcieli prawie wierzyć: więc zostaną tutaj?

— Naturalnie — powiedział Szary Orzeł — tylko musimy sobie lepszy wigwam zbudować.

Jak on się na wszystkiem zna, ten Szary Orzeł! Powiedział im naprzykład, że gałęzie trzeba kłaść igłami i liśćmi na dół, bo inaczej będzie przeciekać. Zawstydzili się trochę Komancze i tłomaczyli, że to właściwie „na tymczasem" ten wigwam.

Szary Orzeł powiedział wtedy, że można nawet odrazu zbudować blokhaus.

— Blokhaus?

— Tak. Taki jak miał naprzykład Skórzana Pończocha.

On doprawdy wszystko wie!

Kiedy ułożyli się z trudem w ciasnym wigwamie, Komancze zaczęli zwierzać się swemu wodzowi ze wszystkich tajemnic. Powiedzieli o sygnale, o tatuowaniu, o broni, o sucharach i o wszystkiem.

Szary Orzeł słuchał uważnie i poważnie, ale robił też uwagi i to takie, że odrazu widać było, ża jest doświadczonym podróżnikiem i myśliwym.

Dowiedzieli się więc Komancze, że ostrza oszczepów drewnianych można hartować przez opalenie w węglach, że strzały bez piór są prawie nic nie warte, że suchary najlepiej robić z niesolonego chleba i wiele innych rzeczy,

— A jak nas znalazł Szary Orzeł? — pyta Wielki Jastrząb.

— Przyjechałem wczoraj, specjalnie dla ciebie,

mój drogi chłopaku, bo twoja Mama prosiła mnie, żeby się tobą zaopiekować.

— To już nikt do mnie nie ma prawa, tylko wuj! — pyta z radością Wielki Jastrząb i aż podnosi się z posłania.

— Tak. A chcesz się mnie słuchać?

— No przecież wuj jest wodzem — mówi poważnie Wielki Jastrząb, — a to przecież całkiem co innego, niż taki... jakikolwiek dorosły, co chce się rządzić, a nic nie umie i jest niedołęga.

— Więc przyjechałem i odrazu dowiedziałem się, że uciekliście. Mówiono mi, że w stronę miasteczka.

— Nawet posyłali tam! — zaśmieli się Komancze.

— Tymczasem ja odrazu byłem pewny, że nie tam poszliście, bo tam za dużo ludzi się kręci i mogliby was zobaczyć.

— Naturalnie — potwierdzili poważnie.

— Przeszukałem zatem park — ciągnął wuj i odkryłem wasze schronisko.

— Znalazł Szary Orzeł? Porządne schronisko, co?

— Tak, wcale niezłe. Ze śladów zrozumiałem, że tam zgromadziliście swoje zapasy i z tamtąd wyruszyliście w podróż. Zacząłem więc z pomocą Trafa tropić po śladach...

— Jak prawdziwy Komancz — szepnął Wielki Jastrząb.

— ...i oto doszedłem do tej polany.

— Ale, dobrześmy się schowali, prawda!

— Bardzo dobrze. Długo się naszukałem nim was wykryłem. Ostatecznie zdradził was zapach ogniska, na który nakładliście wiele jałowca, a ten, pamiętajcie, daje w ogniu bardzo silny zapach. Szedłem przez polanę, gdy świsnęły koło mnie strzały, a w chwilę potem, chociaż powiewałem białą chusteczką — drugie...

— Nie widzieliśmy chustki — tłomaczyli się Komancze — tak ciemno było...

— Nic nie szkodzi. Jak pobędziecie ze mną w lesie to wprawicie sobie oczy do bystrego widzenia.

— Ale nie skaleczyliśmy Szarego Orła?

— Nie. Strzały były bez piór i niewiele cięższe na końcu, a z takich trudno jest trafić nawet dobremu łucznikowi. No, ale dosyć tej gawędy— śpijmy, bo jutro czeka nas ciężka praca: musimy przygotować zapasy, naczynia i narzędziá do budowy blokhauzu.

— Blokhauzu! — powtórzyli Komancze z zapałem.

— A teraz — spać! — rozkazał Szary Orzeł i cały szczep Komanczów wkrótce zasnął.

— Wstawać! wstawać!

Wielki Jastrząb dźwignął się na łokciu i spojrzał rozespanymi oczami na kogoś, kto wołał energicznie i wesoło: „wstawać".

W pierwszej chwili pamięć jeszcze błąkała się bezradnie między gęstymi oparami snu i ledwo szarzejącemi węgłami rzeczywistości. Aż nagle przypłynęła ciepła fala radości i objęła płomieniem bijące serce, przypominając wszystko.

Szary Orzeł siedział koło ogniska i piekł jakąś zwierzynę, jak prawdziwy myśliwiec!

Wielki Jastrząb nie dziwił sie wcale, że widząc go wczoraj poraz pierwszy, zwierzył się ze wszystkich tajemnic.

Takiego to przynajmniej warto się słuchać, to dopiero prawdziwy wódz.

— Co to jest, Szary Orle? — pyta Wielki Jastrząb, pokazując na pieczyste, pachnące bardzo apetyczne.

— Dzika kaczka — odpowiada spokojnie Szary Orzeł, jakby całe życie żył w prerjach i żywił się dzikiemi kaczkami.

— A.. a skąd?

— Upolowałem — odpowiada znowu spokojnie Szary Orzeł.

Teraz Komancze jeden przez drugiego rzucają pytania: a kiedy? a jak? czy było całe stado? czy długo trzeba się uczyć strzelać?

Szary Orzeł odpowiada:

— Tam, nad stawem. Dzikie kaczki gnieżdżą się przeważnie w błotach, trzcinach, stawach. Szkoda, żeście spali jak susły, bo poszlibyśmy razem. Zobaczylibyście jak to trudno podejść cicho zwierzynę. Ale za to niema nic ciekawszego jak obserwować dzikie zwierzę na wolności.

— A jak ją Szary Orzeł zastrzelił?

— Poszliśmy z Trafem, na drugą stronę stawu, tam gdzie takie trzciny, wiecie?

— Tak! tak! wiemy.

— Oczywiście wybrałem się jeszcze przed świtem, wtedy najlepiej polować i to nietylko na kaczki, ale wogóle na wszelką zwierzynę, wszedłem w trzciny...

— Ale przecież tam jest straszne błoto!...

— No to co? Przecież nie jestem z cukru, nie roztopiłem się, jak widzicie.

Nie, doprawdy! Ten Szary Orzeł jest zupełnie nie taki, jak wszyscy dorośli!

— A potem zacząłem wabić.

— Co to jest „wabić"? Jak „wabić"? — pytają Komancze. A Szarego Orła to przynajmniej warto pytać: wszystko wie i umie o wszystkiem coś powiedzieć, a przytem nie śmieje się, ani nie wykręca, tylko mówi poważnie.

— Trzeba się nauczyć naśladować głosy zwierząt.

— Ja umiem „koguta"! I ja! A ja szczekać potrafię. — No tak, ale dzikich zwierząt! A tak, prawda... No, ale oni się nauczą, nauczą. napewno! Zaczną podchodzić, polować!...

— Kiedy się dobrze naśladuje głos takiego zwierzęcia czy ptaka, można go przywołać do siebie i takie przywołanie nazywa się właśnie „wabieniem".

— A jak to się robi?

Szary Orzeł złożył dłoń w trąbkę i zaczął wydawać jakieś dziwne głosy, aż Komancze się zaśmieli.

Wreszcie Sokole Oko ośmielił się zauważyć:

— Ady kaczka inaczy woła!

— Tak, swojska! — powiedział Szary Orzeł i sam się śmiał — swojska tak woła (doskonałe kwakanie).

— Prawda! prawda! — odpowiadają zachwyceni — no i co dalej? co dalej?

— Jakiś czas wabiłem, aż wreszcie wypłynęło stadko. Wziąłem na cel kaczora...

— A jak można wiedzieć, że to kaczor?

— Kaczor ma głowę zielono-złotawą, a kaczka szarą. O, zobaczcie tam te pióra zielone, po takim kolorze łatwo poznać kaczora. Mój kaczor kwaknął ostrzegając w ten sposób stado i wzniósł się w powietrze. Trafiłem go jednak w locie — i...

— Co, co?

— ...i pieczyste jest gotowe!

Druga kaczka leżała jeszcze niesprawiona na boku, więc zaraz po śniadaniu pokucali nad nią wszyscy Komancze i zaczęli ją oglądać.

Szary Orzeł także podszedł bliżej i powiedział:

— Zobaczcie czy pióra ma mokre czy suche.

— Suche.

— Musi już obeschła.

— No, to oblejcie ją wodą.

Oblali ją wodą, ale woda nie trzymała się na kaczce. Zaczęły się robić takie oka, jak na rosole i woda spływała.

— Dlaczego to tak się robi Szary Orle?

Zaczęła się więc rozmowa myśliwska, ogromnie ciekawa. Okazało się, że dzika kaczka tylko dlatego może się wyrwać wprost z wody do lotu, że pióra jej nie mokną. A nie mokną dlatego, że ona robi sobie z nich nieprzemakalny płaszcz, bo smaruje tłuszczem z gruczołu, który jest przy ogonie. A od zimna broni kaczkę tłuszcz, który jest pod skórą. Potem jeszcze Szary Orzeł pokazywał jak kaczka rusza nogami, jak pływa i oglądali dziób, który jest doskonale urządzony do żerowania w różnych błotkach i stawkach. Wszystko obejrzeli dokładnie i zrozumieli co do czego jest. Nawet nie myśleli, że w jednej kaczce może być tyle ciekawego. Potem Szary Orzeł opowiadał, kiedy kaczki przylatują, kiedy odlatują i kiedy wolno na nie polować, a kiedy nie.

Komancze słuchali z zapartym oddechem i zapamiętywali sobie każde słowo. Oczywiście! Bo

cóż to za wstyd dla myśliwego i w[illegible]ownika, kiedy nie zna zwyczajów zwierzyny.

— A gdzie kaczki lecą, jak stąd odlecą? — zapytał Wielki Jastrząb.

— Bardzo słuszne pytanie — pochwalił go Szary Orzeł — zajmiemy się tem osobno. Opowiem wam o tych krajach do których one lecą. A jutro rano wybierzemy się na podchodzenie kaczek z wabieniem i przyjrzycie się im jak pływają, jedzą i zachowują się.

— Ach, Szary Orle!

Z początku Komancze nie umieli zupełnie podchodzić i tylko straszyli zwierzynę, aż Traf się oglądał, zgorszony mocno. Ale potem nauczyli się trochę i po jednemu, albo po dwóch chodzili z Szarym Orłem.

I zawsze coś ciekawego opowiedział Szary Orzeł tak, że wszystko się rozumiało. Naprzykład to, że po zębach można poznać czem się żywi lis, a czem zając. Albo dlaczego ptaki błotne i wodne mają długie nogi i dzioby, a ptaki, które łapią zdobycz w locie — krótkie. Rozumiało się, że każde zwierzę jest przygotowane do swoich okolic i swojego pożywienia. Nawet kolor każdego jest taki, żeby go nie było widać w trzcinach, albo na roli. Naprzykład jak pierwszy raz podchodzili kaczkę, to nie mogli jej zupełnie zobaczyć.

Ale tymczasem robiło się zimniej i Szary Orzeł powiedział, że czas wziąć się do budowy blokhausu. On miał jechać do dworu po narzędzia, a Komancze mieli tymczasem zrobić „model".

— Model to jest taka sama rzecz, jak prawdziwa, tylko że mała. I według tego potem się robi — powiedział Szary Orzeł i podał im rękę na pożegnanie.

Bardzo dziwnie i przyjemnie, jak taki dzielny człowiek podaje naprawdę rękę.

Zaraz po odejściu Szarego Orła postanowili wziąć się do roboty modelu.

Sokole oko trochę kręcił głową i mówił:

— Blokhaus. Hm... To je sztuka zrobić!

Ale wielki Jastrząb się oburzył:

— Co ty tam opowiadasz! Każdy podróżnik i myśliwy to potrafi. Pamiętasz jak Sokole Oko...

— No, to próbujmy.

— Dobrze... To tego... To co najpierw?

— A, no...

Chwilę stali bezradni oglądając się na różne strony. Wreszcie wielki Jastrząb krzyknął:

— Wiesz, tam jest opis! i skoczywszy do szałasu, wygrzebał nieocenioną, nieodstępną książkę, odnalazł potrzebne miejsce i zaczął czytać:

„Nasi znajomi zwalili kilka drzew jednakowej grubości, ściągnęli je na miejsce i zaczęli obciosywać. Potem pod kierunkiem Skórzanej Pończochy wzięli się do wznoszenia ścian. Praca ta zabrała im sporo czasu, ale nim przybył Wielki Jastrząb z wywiadów — mocny, wspaniały blokhaus stał już pośrodku doliny"...

— Tylko tyle?... — przeciągnął Wielki Jastrząb z rozczarowaniem — z tego to nic nie wiadomo!

— Ano, trza równe paliki wynaleźć i obstrugać — poradził Szybki Jeleń.

— A, dobrze.

I wzięli się wszyscy do roboty.

Długo zbierali i zcinali odpowiedni materjał, wiele gałęzi musieli odrzucić, bo były za grube, za cienkie, albo krzywe. Musieli zbierać nowy zapas, a kiedy wreszcie uradzili, że można się zabrać do budowania — zauważyli, że słońce stało już wysoko na niebie. Przegryźli coś na prędce i wrócili do pracy.

Z ostruganiem patyków poszło jeszcze jako tako, ale nie wiadomo było jak spoić „bale" ze sobą. Z rysunku też niewiele można było zrozumieć... Wreszcie Sokole Oko poradził:

— Trza tak na skos ponacinać jak w chałupach, to się zaczepi jedno za drugie.

Trochę się to nie podobało Wielkiemu Jastrzębiowi, że „tak jak w chałupach", ale wyboru nie było.

Sklecili więc jako tako ściany, a z dachem to już było łatwiej, kładło się poprostu jeden patyk na drugim (na dwuch skrzyżowaniach) i jakoś to się trzymało.

Zmierzchało się, gdy skończyli pracę. I wtedy dopiero zauważyli, że niema okien, ani drzwi. Kamancze byli bardzo niezadowoleni z siebie:

— Ładne pojęcie będzie miał o nas Szary Orzeł—martwił się Wielki Jastrząb—Co to za blokhaus!

— Juści że nie tego... — zgodził się Szybki Jeleń — ino, że goździ nie było...

— Taak.. ale to wszystko na nic! Ech!

Wieczór już zapadał, a Szarego Orła nie było. Nic się nie chciało bez niego robić, a w dodatku deszcz zaczął pokrapywać i przeciekać przez wigwam.

Dopiero późnym wieczorem zatrzeszczały gałęzie i rozległy się ciężkie stąpania.

— Co to? — wyszeptał najwięcej skory do strachu Chwiejna Trzcina. Chwilę nawet trwało zaniepokojenie, ale z ciemności doszedł ich znajomy głos:

— Zgasło wam ognisko?

— A tak! Zgasło...

— No, to obłupać mokrą korę i dalej rozpalać duży ogień!

Odrazu zawrzał ruch na polanie i za chwilę zakwitł biały, ciepły kwiat ognia.

Przy jego świetle zobaczyli chłopcy wóz, porządnie wyładowany, zaprzęgnięty w jednego konia.

— Cóż, przecieka nasz wigwam? — spytał Szary Orzeł.

— A tak.. trochę — przyznali Komancze.

— Zaradzi się temu—powiedział Szary Orzeł i wyjął z wozu duże brezentowe płachty i derki.

Komancze zasypiając w ciepłych derkach, słyszeli nad sobą monotonne, drobne bębnienie kapuśniaczku.

Na drugi dzień, od samego rana zaczęto wy-

ładowywać wóz. Ach, czego tam nie było na tym wozie! Poprostu — skarby: same najpotrzebniejsze i najładniejsze rzeczy. Najważniejsza rzecz-to były wspaniałe, prawdziwe siekierki i składane noże podróżnicze, a w dodatku pasy z haczykami do zaczepiania różnych rzeczy. A dalej: były manierki, kociołki, sznury, gwoździe, piła, a nawet konserwy. (Pewno z bizona!)

Czyż może być coś piękniejszego, niż narzędzia, broń? Spytajcie każdego Komancza, a to samo odpowie.

Po wyładowaniu wozu, Szary Orzeł obejrzał blokhaus. Prawda, odrazu powiedział, że niedobry, ale nie wyśmiewał się, ani nie złościł, ani nie mówił: „nie nie umiesz! ładnie się starasz!", ani nic takiego. Tylko mówił to, co naprawdę było niedobrze i dawał odrazu radę jak co robić. Taką radę przyjmuje się z wdzięcznością i ceni.

Potem zasiedli wszyscy do roboty nowego modelu. Dłubali swemi nowemi nożami słuchali objaśnień i przyglądali się temu, co wycinał Szary Orzeł, a potem próbowali robić to samo.

Dowiedzieli się więc o łączeniu drzewa na wprost i pod kątem, stykiem, czopem z klinem nakładką, zamkiem i jaskółczym ogonem. Dowiedzieli się o wiązaniach wiszących i rozpierających, o ścianach wieńcowych, o przyciesi i ławie.

Wielki Jastrząb przypomniał sobie naraz opis blokhausu w książce i powiedział:

— Jak się o czem czyta, albo słyszy, to wy-

daje się, że to takie niby nic.. że proste.. A jak chcieć zrobić, to trzeba tyle rzeczy wiedzieć. Nawet jak nóż lepiej trzymać.

— A tak — uśmiechnął się Szary Orzeł — ale za to, jak co zrobisz własną głową i własnemi rękami, to już będziesz umiał i pamiętał, prawda?

— O, prawda! prawda!

Właściwie to wstyd, żeby sobie nie dać rady samym, i żeby Szary Orzeł musiał sprowadzać do lasu stelmacha. Tembardziej, że stelmach nie mówi blokhaus, tylko — chałupa. Ale Szary Orzeł mówi, że od każdego trzeba się uczyć, czego tylko można, więc słucha się uważnie jak stelmach opowiada, które jest drzewo twarde, a kruche, które miękkie, a włókniste. Mówi o palach dębowych do mostu, jako że dąb wody się nie boi, i o piastach akacjowych, co w nich szprychy jak w żelazie siedzą; i o toporzyskach niezdartych z jesionu i o poczciwej sośninie, co się na wszystko przygodzi. Mówi o zwyczajach drzew i jako każde ma swoje upodobanie i gdzieindziej rosnąć lubi i które grzyba łatwo łapie i kiedy ścinać trzeba i kiedy budować.

Stelmach musi być zadowolony, bo rozgadał się jak nigdy i pokręca zrudziałego wąsa. Komancze i Szary Orzeł dopytują go się pilnie:

— A brzoza do czego może być?

— A dach z czego się robi?

— A takie gonty to nie przeciekają?

Przyjemnie się pytać, bo stelmach wszystko tłomaczy, a zresztą Szary Orzeł też się pyta

i wcale się nie wstydzi: jak tylko czego nie wie, tylko mówi: „aha, to trzeba sobie zapamiętać!

Potem poszło się do lasu i poznawało się drzewa naprzód na oko, a potem po liściu, a potem po dotykaniu kory. Komancze uczą się wszystkiego z zawziętością: przecież to wszystko będzie im potrzebne do budowy blokhausu. I nawet nietylko dlatego: poprostu honor Komancza wymaga, żeby umiał to wszystko. Niech sobie nawet będzie trudno spamiętać — to nic, spamięta się. Bo wie się dlaczego tego trzeba się dowiedzieć i jest w tem coś.. coś bohaterskiego, przygodowego. A od takich rzeczy nie odstraszy żadna trudność.

Potem przystępuje się do roboty.

— Ale my sami! Sami! — dopominają się komancze.

Bo cóż to za przyjemność, jeśli stelmach zrobi wszystko? Tylko jak się własnym wysiłkiem coś zbuduje, wtedy ma dopiero wartość.

— Sami! sami!

Więc stelmach tylko pokazuje, uczy i troszeczkę pomaga. Najgorzej jednak było z wymierzeniami tak, żeby wszystko pasowało do siebie. Stelmach powiedział:

— Ja, panie dziedzicu, wszystko to mam w głowie, ale żeby dokumentnie wyłożyć — to nie wyłożę.

Wtedy Szary Orzeł siadł sobie na pniu, a Komancze koło niego i zaczął patykiem rysować na ziemi. Narysował koło, potem podzielił na cztery

części i już wydobył kąt prosty i większy od niego i mniejszy. Zaczęto się naradzać jakby nazwać te kąty, żeby wiadomo było o jakim mowa. Ostatecznie uradzono, że mniejszy od prostego będzie się nazywał ostry, a większy od prostego rozwarty, albo otwarty. Potem i tych nazw okazało się za mało i Szary Orzeł powiedział, że najlepiej będzie kąt mierzyć. Podzieliło się więc koło na małe części i według tego obliczano stopnie kątów. Potem nauczono się przenosić kąt narysowany na papierze na ziemię i odwrotnie.

Szary Orzeł tylko trochę pomagał, bo bardzo dużo wynaleźli sami Komancze.

— Jest! Jest!

— Mam! — wołał co chwila któryś i tłumaczył wodzowi jak on to myśli zrobić. Nawet stelmach kręcił głową:

— Ten Wacek kowalowy taki był leń zakamieniały—mówił—a teraz jak się zwija. No, no!

I stanął wreszcie blokhaus indyjski.

A potem...

Dziennik kapitana Zbigniewa Kolumba — Brzezińskiego. Okręt „Robinson" na Czarnym Oceanie.

3 września.

Zaczynam pisać dziennik, bo tak się zawsze robi na wyprawach. Trzeba pisać co dzień, aż do śmierci, jak kapitan Skot i opisywać co się zdarzyło na okręcie. Muszę opisać jak się robiło łódź i spisać mój inwentarz.

5 września.

Wczoraj nie pisałem, bo malowaliśmy okręt i byłem zmęczony, ale wuj mówi, że trzeba we wszystkim być wytrwałym, więc będę pisał codzień, jak Kończa, co wuj nam czytał jego dziennik, że palce miał odmrożone i papier zamoknięty a pisał. Wuj dziś nam czytał i opowiadał jak był w Indjach i obiecał nam przeczytać „Księgę dżungli", to znaczy puszczy w Indjach. Kończa to jest polski podróżnik.

6 września.

Okręt nasz pomalowany jest na zielono, żeby go nie było widać między trzcinami. Wszystkie zwierzęta tak wyglądają, żeby ich nie było widać np. zebra jest w paski, jak cienie od trzcin, a lew takiego koloru jak piasek. Wuj nam pokazywał obrazki takich dzikich zwierząt i później pojedziemy do ogrodu zoologicznego, wuj nam obiecał. Okręt nawywa się „Robinson", bo strasznie nam się podobał Robinson Kruzoe (książka) i samiśmy go odnowili, zreperowali i pomalowali. Nie widziałem, że dziury w łódce zalewa się smołą i obtyka pakułami. Jak się coś maluje oleiną farbą, to trzeba dwa razy malować, raz na podkład, a drugi raz już na prawdę.

9 września.

Znowu nie pisałem i to dwa dni, a to wstyd, bo jak wuj nam opowiadał o utonięciu Tytanika (okrętu) to wszyscy spełniali swój obowiązek, a telegrafista telegrafował o pomoc aż go zalała

woda. Trzeba się przyzwyczajać we wszystkiem do wytrwałości — to potem można się wsławić. Dziś wuj pokazywał nam strzelbę i tłomaczył, czyściliśmy i strzelaliśmy od razu. Jak się wprawimy to pojedziemy na kaczki. Kula leci, bo z prochu robi się gaz i wypycha tak, jak para wypycha pokrywkę od kociołka i okręt.

10 września.

Muszę opisać swój inwentarz:

Mój inwentarz.

1 proca, 1 łuk i 6 strzał, 3 oszczepy (jeden z gwoździami) 1 maczuga z kamieniami, Robinson Kruzoe, Młody wygnaniec, 2 zielone kamienie (odkryte za cegielnią), zapasy do podróży: sznur, zapałki, kłębek drutu, kłębek (większy) szpagatu (od wiązałki, bardzo mocny), gwoździe (co zostały od blokhauzu), siekierka (co nam wuj dał do blokhauzu, ale na zawsze) 1 nóż składany, 1 dziennik (gruby notes) i 1 bruljon (wuj nam dał na zbiory przyrodnicze).

To wszystko, bo okrętu się nie liczy, bo jest wspólny. Książki to wuj mi oddał wszystkie, ale ja najlepiej lubię Robinsona i Wygnańca i te zapisałem. Te kamienie — to są niby talizmany, albo skarby, wuj mówi. że to z huty szklanej i muszę się dowiedzieć co to takiego.

11 września.

Dziś była pierwsza wyprawa. Było doskonale! Odkrywaliśmy lądy i nazywaliśmy różnemi nazwami. Już przedtem była Polana Komanczów

i Źródło Podróżników, a teraz odkryliśmy Kacze Sitowie bo tak nazwaliśmy, bo tak blizko podpłynęliśmy do kaczek, że było widać. Pierwszy raz widziałem tak blizko dzikie ptaki, ale wuj nie strzelał, dopiero innym razem wybierzemy się na polowanie. Taka kaczka nazywa się krzyżówka, kaczka jest szara, a kaczor ma łeb i szyję podobną jak u pawia zielono-złotą mieniącą. Na zimę trochę kaczek odlatuje, trochę nie. Na skrzydłach jest taka biała plama — lustro. Cały czas w jedną stronę wiosłowałem i bolą mnie ręce, ale będę się wprawiać.

12 września.

Wuj mówi, że może odkryjemy jaki nieznany gatunek owadów, albo roślin, bo nawet w naszym kraju nie wszystko jest zbadane i odkryte. Muszę coś odkryć koniecznie! Jutro jedziemy na zbieranie roślin.

13 września

Mrówcze Wzgórze badaliśmy przez cały dzień. Naprzód same mrówki, a potem kilka roślin. Z mrówkami robiliśmy doświadczenia, położyliśmy kawałeczek mięsa daleko od mrowiska i jedną mrówkę złapaliśmy i posadziliśmy na tem mięsie, a ona poszła i zawołała inne i bardzo dużo przyszło, potem nałamaliśmy igliwia i położyli na mrowisko, a one budowały z tego i dużo innych doświadczeń (ścieżki i przeszkody i t. d.) rośliny to najprzód zbieramy jadalne, ale ich jest niedużo, bo wszystkie ludzie sami uprawiają, jak się do-

wiedzieli, że są jadalne, a ja nie myślałem, że np. kapusta, albo marchew, że to są też rośliny takie jak dzikie. Jakoś tak dziwnie. Dziś zebraliśmy szczaw, zajęczy szczawik, czarne jagody, poziomki i jeżyny (to są takie jak maliny, ale czarne) i z pokrzywy, i z lebiody, robiliśmy szpinak, ale się nam nie bardzo udał. I dziś cały obiad był, jak naprawdę u podróżników, bo tylko z tego co znaleźliśmy. A wuj się śmiał, że pokrzywą poparzymy sobie żołądki, ale tak tylko żartował. A z pokrzywy można robić ubrania.

14 września.

Wszystkie rośliny mają swoje rodziny i zwierzęta także np. poziomka, truskawka, jabłoń i wiśnia należą do różowatych, to bardzo dziwne i jeszcze jeden taki żółty kwiatek co rośnie na łąkach (nie pamiętam jak się nazywa) też należy do różowatych.

20 września.

Przez kilka dni poznawaliśmy wszystkie rośliny, a są już uprawne, i zasuszaliśmy kwiaty i liście, a rysowaliśmy wygląd ogólny i jaka kora i zapisywaliśmy kiedy kwitnie i dojrzewa (to do tego wuj nam dał bruljony). I będziemy po kolei przyrządzać sobie obiady, z wszystkich jarzyn sami, a potem będziemy sami zakładać swój ogród tak, jak na bezludnej wyspie, ale teraz jest jesień to za późno.

21 września.

Nie pisałem prawie przez tydzień od 14-go do 20-go, ale to się nie liczy, bo co dzień pisa-

liśmy w „dzienniku obserwacyjnym" (tak się nazywa teraz bruljon) cośmy zbadali. I wuj mówi, że to się nie liczy za niewytrwałość ale dla porządku, żeby zapisać w dzienniku choćby datę i że „badaliśmy rośliny uprawne", a jak nic się nie zdarzy to zapisać „nic nowego". Józik robi duże błędy w pisaniu, a ja bardzo rzadko i wuj powiedział, żebyśmy dużo pisali, a jak chcemy to on nam powie gdzie jest błąd, bo to wstyd nie pisać dobrze w języku tym, którym mówili przodkowie.

23 września.

Dziś jeździliśmy na Czarny Staw na polowanie z kaczkami. Wuj zastrzelił kaczora w locie. Opowiadał nam dziś, że polował na dziki i zabił pumę w Brazylji (to jest Połud. Ameryka). Muszę być koniecznie podróżnikiem.

24 września.

Dziś przed obiadem robiliśmy stół w blokhauzie, bo nie było, były tylko trzy tapczany, a obiad jedliśmy albo na dworze, albo na pace od zapasów ale wuj zawołał znowu stelmacha i robiliśmy dwie ławy i stół. Wuj Władysław był już drugi raz (raz to jeszcze nie pisałem dziennika) i mówił, że „to wszystko szopka i nic więcej", a wuj Stefan nic nie powiedział, ale patrzył bardzo surowo „a oczy jego błyszczały piorunem gniewu" tak jest napisane o wielkim Jastrzębiu.

25 września.

Rano urządzaliśmy biegi, skoki, a potem rzucaliśmy żelaznym ciężarkiem od wagi i oszczepem

i wuj mówił, że tak robili starożytni Grecy, którzy byli bardzo dzielni i bardzo mało jedli i pili i uczyli się wytrzymałości na ból. Wuj nam opowiadał także o Rzymianach i Mucjuszu Scewoli, co spalił sobie rękę. Dziś biłem się oszczepem po ręce, żeby zobaczyć czybym wytrzymał.

26 września.

Nie wiem co mi się lepiej podoba czy taki rzymianin czy podróżnik, ale już nie będę indjaninem wielkim Jastrzębiem, tylko albo Kolumbem, albo Mucjuszem Brzezińskim. Wuj mówił, że indjan jest już mało i nie są wcale tacy dzielni, a wuj był w Ameryce to wie. Ale oni umieją się sami leczyć i będziemy teraz zbierać rośliny lecznicze, bo to każdy podróżnik musi umieć. Dziś znowu urządzaliśmy rano ćwiczenia i tak będzie codzień, a jutro będzie niespodzianka, nie wiem co takiego, ale mówił wuj.

27 września.

Dziś strzelałem do celu z flowera!

28 września.

To wcale nie jest trudne i strasznie przyjemne, trzeba tylko patrzeć przez muszkę. Kula jak leci daleko to opisuje krzywą linję tak jak woda z sikawki, bo ziemia przyciąga np. jabłko spada z drzewa, więc jakby leciała prosto—toby zaraz upadła. A jak strzelić do góry to kula leci coraz wolniej, a potem coraz prędzej (jak spada) i może, zabić tak samo jak wylatuje. Będziemy się ćwiczyć w strzelaniu, a potem będziemy polować, z floweru można coś zabić, jak się celnie strzela.

29 września.

Tojad—jest trujący, ale leczniczy, Pomornik górny — na stłuczenia, Wilcza jagoda — trujące, w aptekach robią lekarstwo na oczy, Pietrasznik— bardzo trujące (obrzydliwie czuć), Naparstnica — lekarskie i inne to zapisałem w „dzienniku obserwacyjnym". Dziwnie, że tak dużo jest roślin różnego rodzaju, a jak się patrzy na łąkę, to zdaje się, że to jednakowe. Dziś nazwaliśmy Przylądek Mokrej Nadziei, bo Wacek zrywał lilję wodną i wpadł do wody, a później jak go wuj wyciągnął to o mały włos nie płakał, ale wuj powiedział czy on pamięta jak to było Scewolą i Wacek nie płakał, a wuj powiedział, że on nie z cukru i śmieliśmy się.

30 września.

Wuj nam opowiadał taką przygodę o bezludnej wyspie, co na niej był skarb i jak jeden marynarz miał mapę, i na niej oznaczną drogą i jak mu chcieli wykraść, ale on pierwszy dopłynął. Strasznie to nam się podobało i ja myślałem o tym cały dzień i mówiliśmy z Józikiem, żeby szukać takiego skarbu, ale niewiadomo gdzie.

1 października.

Wuj był we dworze i przywiózł starą mapę Czarnego Stawu i brzegów i wuj powiedział, żebyśmy przyjrzeli się mapie i brzegom to zrozumiemy jak się rysuje mapę i że każdy podróżnik musi to umieć i rysowaliśmy plan blokhauzu, a potem Przylądka Mokrej Nadziei. Schowałem

tę moją pierwszą mapę, kiedyś muszę odkryć biegun i narysować jego mapę.

2 października.

Zrobiliśmy nadzwyczajne odkrycie! Na drugiej stronie mapy było napisane: „Robinia pseudoacacia, na zachód, wzdłuż Chamomilla vulgaris, sto kroków od Aesculus na wyspie—Skarb".

A na mapie był czerwony punkt na naszej przystani i mała strzałka na prawo. Dziwne, że nie zauważyliśmy tego przedtem. Wuj powiedział, że możliwe, że tam jest skarb, ale nie wie co znaczą te słowa. Więc mnie się zdawało, że to rośliny, bo w naszym atlasie są przy roślinach takie nazwy i często jest napisane „vulgaris" więc postanowiliśmy razem szukać z Józikiem i Antkiem i Wackiem przejrzeliśmy cały atlas, ale nic.

3 października.

Prosiliśmy wuja, żeby nic innego nie robić tylko szukać skarbu i wuj pozwolił. Wzięliśmy suchary i śliwki, toporki i liny i poszliśmy na wyprawę z atlasem. W lesie jeszcze przeglądaliśmy atlas i Robinia pseudoacacia to jest akacja i ona jest w tej stronie, gdzie pokazuje strzałka na mapie, a potem znaleźliśmy co to jest Chamomilla że to jest rumianek i on rośnie tam naprawdę na zachód i Aesculus to jest kasztan i rósł bardzo blisko brzegu, a na Stawie była mała kępa — to była wyspa ze skarbem i znaleźliśmy tam skarb! To było wspaniałe jak w książce, bo tam były cztery wiatrówki (strzelby) jeszcze całkiem

nowe, zawinięte w płótno i cztery pierścienie żelazne (z pewnością talizmany) i na nich napisane było: „Odwaga, Wytrwałość, Szlachetność.“ To było cudne i płakaliśmy choć strasznie się cieszyliśmy i klęknęliśmy na wyspie i przysięgli my sobie wieczną przyjaźń i że wszyscy będziemy podróżnikami, odważnymi, wytrwałymi i szlachetnymi.

4 października.

Wuj dał nam śrótu do wiatrówek i strzelaliśmy do celu nieruchomego, a potem ruchomego i to jest dosyć trudne. A wieczorem zobaczyliśmy, że wuj ma taki sam pierścień i domyśliliśmy się, że to wuj zrobił ten skarb na wyspie i ja pocałowałem z radości wuja w rękę i Józik też i inni i przysięgnęliśmy, że go nie opuścimy nigdy i będziemy go zawsze bronić i służyć mu, a wuj się śmiał, ale miał łzy w oczach.

5 października.

Wuj powiedział, że będziemy robić różne części świata na Czarnym Stawie i kopaliśmy Przylądek Mokrej Nadziei i zrobiliśmy z niego Afrykę, ale to było bardzo trudne, więc tylko usypaliśmy jeszcze cieśninę, zrobiliśmy przesmyk ponazywaliśmy przylądki, wyspy i półwyspy.

6 października.

Dziś spotkaliśmy starego gajowego w takie niebieskiej czapce z orzełkiem i wuj powiedział, że to powstaniec, a on strasznie wuja ściskał za rękę i mówił: „Niech Bóg paniczowi zapłaci, że

wziął mnie starego w opiekę". I później wuj nam powiedział o powstaniu z 1863 r. i czytaliśmy „Moje wspomnienia z 1863 r." To byli wielcy bohaterowie i walczyli o wolność, a teraz jest wolna Polska i wszystkim powstańcom dała stopień podporucznika i pensję i czapkę z orzełkiem. A o stopień podporucznika dla tego gajowego wuj się wystarał i on dlatego tak dziękował.

7 października.

Bardzo dużo bohaterów zginęło za Polskę, a najwięcej mi się podobali szwoleżerowie jak czytałem „Stacha Szwoleżera". I było jeszcze powstanie 1831 roku i Kościuszki. A teraz trzeba kochać i szanować swoje państwo i tak jak Mocjusz Scewola spalić sobie rękę za republikę, albo jak generał Gordon co zginął w Cherkumie, walcząc do ostatniej kropli krwi.

8 października.

Czytam „Ogniem i mieczem" Henryka Sienkiewicza.

9 października.

Czytamy „Potop" i „Pan Wołodyjowski" Najlepiej mi się podoba pan Michał Wołodyjowski.

10 października.

Polacy to byli prawdziwi bohaterowie i kto wie czy nie zostanę oficerem ułanów, bo teraz jest wojsko polskie, ale chciałbym podróżować.

11 października.

Wuj mówi, że straciliśmy morze przez Krzyżaków, a teraz mamy tylko wązki paseczek i powinniśmy go bardzo kochać. A ci Krzyżacy to nie byli rycerze tylko zbóje i wcale nie byli bohaterami.

12 października.

Wiem już napewno: będę polskim podróżnikiem i marynarzem i będę jeździł na polskim okręcie pod polskim sztandarem. Dziś uszyliśmy biało amarantową chorągiew (to się nazywa „bandera) i zawiesiliśmy na statku. Musimy go też inaczej nazwać — nie Robinson, tylko Kraków Warszawa, albo Beniowski. Bo Beniowski to był polski podróżnik. Pytałem się wuja czy byli podróżnicy i powiedział, że tak: Beniowski, Tomasz Wolski, Krzysztof Arciszewski, Prokop Pieniążek, Jan z Kolna, Ignacy Domerko, Strzelecki, Jelski Konstanty i wielu innych.

14 października.

Był wuj Władysław i przywiózł list od Mamy i coś krzyczał na wuja Stefana. List od Mamy przeczytałem i zrobiło mi się smutno bo tak długo Mamy nie widziałem, a Mama pisze, że będę musiał się uczyć pilnie i pojadę do szkoły, chyba ucieknę na jaki statek, albo wstąpię do wojska.

15 października.

Wuj jest jakiś smutny nie wiemy co zrobić, ale postanowiliśmy nie opuszczać go aż do śmierci.

Wszystko to spadło niby ciężka senna zmora i nowe ubranka ze sztywnym, białym kołnierzykiem i ten nieszczęsny obiad, kiedy Zbyszkowi kazali wyjść z pokoju, jak tylko zaczęli o nim mówić. Zbyszkowi się zdaje, że odkąd przyjechała Mama i nazwała go Wusiem, wszystko wróciło się. I nudne popołudnie w pustem mieszkaniu i panna Leonja i pan Kwiatkowski... Kiedy już wychodził zdążył jeszcze szepnąć wujowi:

— Wuju, niech mnie wuj broni!

A wuj powiedział cicho:

— Będę cię bronił drogi chłopaku, ale nie wiem czy cię obronię... Ciebie i innych.

Potem Zbyszek stał chwilę w salonie i słyszał niewyraźne głosy.

— Mama mówiła;

— Mam dosyć tych twoich teorji... Wuś musi skończyć szkołę.

A wuj Władysław huczał:

— Fanaberje pan brodzieju, ojciec mnie i Stefana rżnął w skórę...

Potem Zbyszek poszedł powoli do swego pokoju i łzy ciężkie „dorosłe" łzy płynęły mu po twarzy.

Potem rozstanie z kochanym wujem Stefanem i Komanczami, i z blokhausem i całym inwentarzem, siwkami i z Andrzejem. Pociąg. A teraz jest tylko milczący, głuchy korytarz i wysokie oszklone drzwi.

Chodzą jacyś nieznani panowie w okularach i bez, jeden z czarną brodą, jeden ryży... A w korytarzu stoją razem ze Zbyszkiem chłopcy z takiemi samemi rulonami papieru, z mamami i nauczycielkami.

Z poza niektórych drzwi dochodzi głos nauczyciela wywołujący nazwiska, Bartkiewicz, Cybulski, Dąbrowski, Dudech...

Ktoś ich zawołał. Mama prędko schwyciła go za rękę i już zamknęły się wysokie oszklone drzwi.

Siedzi ich teraz kilku nad dużemi arkuszami. Zbyszek wypisał u góry wyraźnie: Zbigniew Brzeziński i przepisał zadanie, ale zupełnie nie wie co dalej. Probuje coś mnożyć, coś dzielić, aż przestał:

— I tak nie wyjdzie. Niema poco...

— Te, masz! Ściągnij! — mówi cicho rudy i piegowaty chłopak siedzący za nim.

Ale Zbyszek przyrzekł wujowi, że będzie zawsze postępował honorowo, więc nie może ściągnąć. A zresztą nawet lepiej: niech nie zda!

Jeszcze raz spróbował. Coś mu wyszło, ale zupełnie nic niewiadomo czy to tak. Doprawdy ci czterej kupcy zanadto już pokręcili swe interesy.

Nauczyciel odebrał arkusze, ale Zbyszek nie wie czy mu się udało, czy nie.

Już był polski, religja i arytmetyka, a teraz zdaje się botanika. No, to przynajmniej dobrze pójdzie: nie darmo robiło się naukowe wyprawy nad Czarnym Stawem.

Ach, Czarny Staw, blokhaus, okręt!...

— Brzeziński!

Ktoś mówi „Brzeziński", nie wiadomo po co tak głośno mówi i przeszkadza być nad Czarnym Stawem, ale ostatecznie mniejsza o to.

— Brzeziński!

Acha, prawda: tak Zbyszek podpisał się na arkuszu. Ogląda się dokoła i — nieruchomieje... Z nad okularów patrzą na niego szare oczy i skrzeczący głos mówi:

— Nooo?

— Metys!

I Zbyszek odrazu znajduje się przy małym stoliku, pochlapanym atramentem. Przed nim leżą szare, obce książki i w głowie dudni pustka.

— Hm. Nie uważałeś na pytanie. Słuchaj więc jeszcze raz...

Zbyszek słucha, ale nie słyszy, bo w głowie huczy mu coś przeciągle i głucho.

A potem pan Kwiatkowski mówi do Mamy:

— Nie mogę. Szanowna pani, nic nie mogę.

Poprostu nie umie podstawowych rzeczy. Dzieli rośliny na jadalne, trujące i lekarskie. Jak w aptece, albo w kuchni. Miesza rzędy z gromadami... Nie mogę, proszę pani, program ściśle wymaga...
Program...

Nałęczów 30 czerwca 1922 r.

NEUMAN & TOMASZEWSKI
ZAKŁADY GRAFICZNE WE WŁOCŁAWKU